TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Laura Benet, Stephen Vincent Benet, Zdzisław Czermański, Władysław Gieysztor, Michał Kondracki, Zenon Kosidowski, Gustaw Kotkowski, Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin

No. 22 Rok I. | Nowy Jork, 6 czerwca — New York, N. Y., June 6, 1943 | Cena 10ct.

ZENON KOSIDOWSKI

Bo takie są obyczaje polskie

Żywo mamy jeszcze w pamięci ledwo ukrywane lekceważenie, z jakiem bezpośrednio po tragedji wrześniowej witali nas na ziemi francuskiej nasi sojusznicy. Z wyższością pobłażliwego opiekuna, powściągającego wyrzuty tylko z poczucia delikatności, jakiej wymagała chwila — puszczano mimo uszu ostrzeżenia naszych wojskowych, którzy wynieśli z kampanji nowe doświadczenia wojenne. Polacy wiedzieli, że jest źle, że tak podziwiany przez nich, tak czarujący w swej kulturze naród naoślep idzie ku zagładzie. A gdy przyszło nieszczęście, histerja przerażonego tłumu często zwracała się przeciw nam. Pamiętam bardzo przykrą antypolską demonstrację w Biarritz, wypadki aresztowania Polaków jako szpiegów, łapanki urządzane przez żandarmów na naszych żołnierzy. Próby zwalenia winy za klęskę na nas nie były rzadkie.

Nie przypominam sobie jednak, aby ktokolwiek z nas poddał się rozgoryczeniu. Nigdy właściwie nie padło słowo wrogości. Przeciwnie, z żalem może, ale ze współczującem zrozumieniem przyjmowaliśmy te pożałowania godne wypadki, jako objawy rozpaczy i cierpienia. Byliśmy w tym wypadku starsi doświadczeniem klęski. Nie rozdrażnienie nami kierowało, ale wewnętrzna rozwaga, jakiś elementarny upór wiary, że wszystko to jest tylko przejściowe, a więc nieważne w czekającej nas drodze ku wyzwoleniu.

Wiedzieliśmy, że poza tą egzaltacją nieszczęścia jest nieprzemijający genjusz narodu francuskiego, są chłopi którzy naszych żołnierzy karmili i przeprowadzali przez kordony niemieckie, jest np. owa Francuska z Biarritz, żona poczmistrza, której mąż był gdzieś na froncie, a która na wiadomość o bohaterstwie polskich dywizji powitała mnie ze łzami w oczach, nie znajdując słów dla wyrażenia swego wzruszenia.

Polacy opuszczali granice Francji nie zachwiani w swych uczuciach sympatji wiedząc że wszystkie te wrogie manifestacje są objawem stanu chorobowego zdruzgotanego narodu, kryzysem spowodowanym przez ogromne nieszczęście. Poraz wtóry po dramacie wrześniowym wygnańcy polscy wyruszyli na dalszą wędrówkę, wynosząc z tych straszliwych przeżyć nietylko nienaruszoną wiarę w ostateczne zwycięstwo, ale również przekonanie, że po chwilowem załamaniu, Francja znajdzie kiedyś drogę odrodzenia.

Gdy Churchill witał w Londynie Sikorskiego uściskiem dłoni, na znak złączenia się Anglików i Polaków na śmierć i życie w walce zdawało się beznadziejnej, gdy lotnicy nasi razem z towarzyszami angielskimi odpierali ofensywę niemieckiej armady powietrznej, a nasi żołnierze walczyli w Afryce, mieliśmy prawo sądzić, że nastąpi tu rzadki w historji sojusz krwi na wieki, że wspomnienie tych najtragiczniejszych chwil dwuch walczących narodów stanowić będzie nierozerwalny węzeł zobowiązania moralnego. Któż z nas mógł wtedy przeczuwać, że czekają nas bolesne rozczarowania, najgorsze w ciągu całej wojny. Zwaliła się na nas burza słabości i oportunizmu. Ponownie powstało tchórzliwe widmo Monachjum, tylko ze zmianą głównego statysty. Byliśmy drodzy i szanowani w nieszczęściu, ale jak tylko rozwiały się groźne chmury, zapomniano o wszystkiem, o zobowiązaniach przyjętych na siebie, o braterstwie broni, o tem nawet, by przynajmniej cześć nam pozostawić. Od czasów przemówień Hitlera w czasie kampanji wrześniowej nie nasłuchaliśmy się tyle impertynencji, szyderstw i złośliwych epitetów, nigdy nie pomiatano tak naszemi najświętszemi prawami i nie zużywano tyle wykrętnej kazuistyki politycznej, by nas przekonać, że musimy oddać połowę naszej ojczyzny i że broń Boże nie wolno nam upominać się o los setek tysięcy naszych nieszczęsnych braci. A jednak tak się stało. Stało się to nie w fazie klęski, co jak we Francji mogłoby być okolicznością łagodzącą, lecz w okresie właśnie, gdy poraz pierwszy w tej wojnie nastały dla Aljantów dni jaśniejsze.

Na łamach niektórych pism angielskich ukazywały się artykuły, które nietylko odbierały nam połowę Polski, lecz wogóle poddawały nas pod protektorat nowego sojusznika-neofity. Obronę naszą, troskę o los setek tysięcy rodaków, pozbawionych najelementarniejszego prawa stanowienia o swej przynależności obywatelskiej, ból i rozpacz tak przecież ludzki i zrozumiały na wiadomość o koszmarnej śmierci tysięcy oficerów — nazwano "polskim nierozsądnym romantyzmem," choć przecież każdy uczciwy i nie zaślepiony załganiem człowiek musi przyznać, że milczenie ze strony narodu w obliczu tej zbrodni — byłoby nikczemnością i zdradą cierpiących w kraju rodaków. Chwile naszej żałoby zohydzano drwinami i obłudnem, niby to życzliwem poklepywaniem po ramieniu. "The New Statesman and Nation" pisze naprzykład: "It is important to be honest with the Poles. They deserve our honesty. The unthinking courage and appalling suffering of their common people, their romantic temperament, and their total lack of political realism — these are factors which command sympathy and which compel all who have to do with them to utter such exasperated remarks as that they are the "Ireland of the Continent." I po tem widowisku hipokryzji autor namawia nas do ustępstwa na rzecz Rosji.

Ale wszystkie te obelżywe epitety, jakkolwiek nieoczekiwane w dwa lata po bitwie powietrznej o Anglję, moglibyśmy ostatecznie przełknąć w imię dobra wspólnej sprawy. Nasz realizm właśnie na tem polega, że patrząc dalej w przyszłość, potrafimy z wyrozumieniem spoglądać na widowisko histerycznego, strachem podszytego oportunizmu. Dla niektórych ludzi, których kiedyś historja przy ocenie moralnego oblicza naszego pokolenia ujmie określeniem "monachijczyków" — staliśmy się po prostu niewygodni, tak jak często są niewygodne zasady moralne, odporne na wszelką kazuistykę. Zniecierpliwienie z powodu takiej przeszkody, choćby symbolizowała ona ważne zobowiązania moralne, jest całkiem ludzkie i nie każdy potrafi się jemu oprzeć, bo na to trzeba mieć charakter, rzecz rzadką w dzisiejszym świecie. Zrozumieliśmy to, gdyby wszystkie te objawy były wyrazem spontanicznej reakcji uczuciowej.

Niestety coraz więcej zaczynamy się przekonywać, że w tem szaleństwie jest metoda. Szczególnie jedna wiadomość wprowadziła nas w zdumienie, gdyż podważa naszą wiarę w to, co nazywamy angielskiem "fair play." Polacy w Anglji skarżą się, że niektóre pisma angielskie, atakujące Polskę i popierające roszczenia rosyjskie — uporczywie rzucają do kosza wszystkie listy polskie, prostujące oczywiste historyczne fałsze, dotyczące Polski. Pisma te nie zbyt muszą być pewne swej argumentacji, skoro osłaniają je — kosztem do papieru. Natomiast nie osłonią w ten sposób nierzetelności w sprawach swego najstarszego sojusznika.

Ta tendencja nałożenia kagańca Polakom i jednostronnego rozgrywania politycznych kombinacji kosztem cudzym, wyszła najaw w ostrym proteście Związku Dziennikarzy Polskich w Anglji. Okazuje się, że w sprawach dla nas najżywotniejszych cenzura angielska stosuje wobec pism polskich rygorystyczne zakazy prewencyjne. Podczas gdy naokoło rozbrzmiewała w pismach angielskich nie krępująca się niczem propaganda antypolska, przygotowująca opinję angielską do zamierzonej aneksji naszych ziem, polscy dziennikarze musieli milczeć, nie wolno im było mówić o tych sprawach nawet do własnych rodaków. Gdy zaś na skutek niesłychanej w dziejach enuncjacji rządu rosyjskiego tamy te się przerwały, jeden z dygnitarzy angielskich skierował pod adresem prasy polskiej ostre ostrzeżenie, wypominając jej, że nadużywa gościnności Wielkiej Brytanji. Wtedy właśnie poraz pierwszy dowiedzieliśmy się, że w Anglji jesteśmy tylko gośćmi, a nie towarzyszami broni z najczarniejszych dni obecnej wojny, takimi gośćmi, którym wolno mówić impertynencje, zabierać własność i nie dotrzymywać przyrzeczeń.

Do jakich groteskowych rozmiarów doszła ustępliwość wobec Rosji, świadczy niewiarogodna historja jednego z nowych polskich okrętów. Władze angielskie bowiem zakazały ochrzcić go imieniem miasta Lwowa. I na tym niedoszłym z woli angielskiej "Lwowie" nasi marynarze pod gradem bomb niemieckich będą zapewne wozili sprzęt wojenny do portów rosyjskich.

Nieobliczalna napaść rządu rosyjskiego na Polskę wywołała również w prasie amerykańskiej falę artykułów nieżyczliwych dla nas. Ale poza prasą czerwoną i nielicznymi komentatorami, wszystkie te głosy były wyrazem chwilowego raczej zamieszania i braku orjentacji. Cierpieliśmy z tego powodu niemało, ale nigdy nie straciliśmy nadziei, że rychło nastąpi w tej sprawie otrzeźwienie. Amerykańska opinja publiczna jest bowiem bezwzględnie uczciwa — i biada temu, ktoby próbował ją w błąd wprowadzić. Propaganda rosyjska popełniła tę właśnie pomyłkę. Skoro uśmierzyły się pierwsze fale sensacji, wystąpiła w przeraźliwie jaskrawej postaci absurdalność wszystkich zarzutów oraz brutalny ton enuncjacji rosyjskich, tak niezwykły w świecie cywilizowanym. W prasie amerykańskiej następuje stopniowo otrzeźwienie i jakby pewne zakłopotanie, że dano się wprowadzić w błąd.

Ameryka naraz dowiedziała się, że zamordowano w ohydny sposób tysiące oficerów polskich, obojętne z czyjej ręki, że rząd polski upominał się o nich już od dwuch lat bezowocnie, że w Rosji znajdują się setki tysięcy polskich kobiet, dzieci i mężczyzn, którym odmówiono opieki rządu polskiego, że Rosja obstaje przy pakcie zawartym w roku 1939 z hitlerowskimi Niemcami. Fakty te, tak mało dotychczas znane, naraz krzyczały i mówiły same za siebie, mimo wywołanego przez agitację komunistyczną zamieszania.

Równolegle z tem zjawiskiem w dziedzinie spraw polskich, zaczęła pogłębiać się świadomość niebezpieczeństwa agitacji komunistycznej. Film "Mission to Moscow" był dla Rosji niedźwiedzią przysługą, gdyż wprowadził pod obstrzał prasy wszystkie wstydliwe momenty reżimu komunistycznego, które już prawie poszły w zapomnienie.

"Romantyzm" polski polega na tem, że nigdy w czasie tej wojny nie straciliśmy wiary w moralne zasady świata. Wierzymy, że nad strupieszałymi kombinatorami politycznymi weźmie górę ta prawdziwa, wielka i nieugięta Anglja Churchilla, lotników, komandosów, 8-mej armji Montgomery'ego, ta Anglja, która dla ujarzmionych narodów Europy jest moralną i polityczną wyrocznią. I mimo że słowo "romantyzm" przyczepiono do nas w sensie lekceważącej drwiny, wierzymy, że w tym romantyźmie jest jedynie możliwy dziś realizm, realizm który odrzuca tchórzliwe ustępstwa i wykrętną kazuistykę w imię tych właśnie zasad moralnych, o które świat tak krwawo dziś walczy. Odrzuca choćby dlatego, iż zdaje sobie sprawę, że terytorjalne ustępstwa dla Rosji kosztem Polski byłyby kapitulacją świata wobec komunizmu, tak jak Monachjum było kapitulacją Europy wobec hitleryzmu. I ci właśnie, którzy tego oczywistego faktu nie widzą, którzy myślą że będą mogli ujść przeznaczeniu historji, są właśnie romantykami w tym sensie, jaki starają się przyczepić Polakom.

Mimo to wszystko wierzymy, że ta burza, która na nas się wali, jest tylko jednym z anormalnych zjawisk kataklizmu psychicznego, jaki ze sobą przynosi straszliwa wojna. Jesteśmy pewni że ten stan chorobowy jest tylko przejściowy, ponieważ siły moralne świata są tak potężne, że w drodze do odrodzenia zmiotą wszelkie przeszkody i trudności, stawiane przez słabość i strupieszały oportunizm, przez imperjalistyczne roszczenia i polityczny merkantylizm. W zwycięstwo tych sił wierzymy szczególnie my Polacy, mieszkający w Ameryce, którzyśmy nauczyli się kochać ten wielki naród, tak głęboko uczciwy i rzetelny w swoich wierzeniach politycznych. Z wdzięcznością wysłuchaliśmy w tej ciężkiej chwili listu Roosevelta, skierowanego do uczestników Akademji Kopernikowskiej w Carnegie Hall, a szczególnie tego zdania: "Nietylko wielkim ludziom i wielkim narodom należy zezwolić, by osiągnęły wolność. Wolność musi być stopniowo dostępna dla małych państw, dla społeczeństw, a także dla indywidualnych jednostek, jeśli ludzkość ma kroczyć naprzód szlakiem światła i życia."

TEKA CZERMAŃSKIEGO



The Big Parade

JAN LECHOŃ

DUCH BOYA

Poezja to wyzłoci, czas wszystko to zatrze
I zniknie wkońcu wszystko, co jeszcze Was dzieli:
Ciebie, coś go oglądał wygodnie w teatrze
Od niego, więzionego w Bazyljańskiej celi.
I wtedy ktoś cierpieniem papierowem wzgardzi
I myśląc jak okrutnie byłeś nieszczęśliwy,
O Tobie może powie: "Ach! On cierpiał bardziej,
Poznał wszystko co ludzkie. Oto człowiek żywy!"
Ty jeden, jak to dziwne, z pośród nas tak wielu,
Coś strzegł się słów podniosłych jak skazy, co plami,
Ty najmniej patetyczny, drogi przyjacielu,
Jesteś właśnie jak Konrad, za pan brat z duchami.
Oto wstajesz z nad biurka w warszawskim pokoju
Jak wczoraj! Ale co to? Skąd ta rana krwawa?
Chciałbym Tobie powiedzieć: "Jak się masz, mój Boyu"
Lecz czuję, że już teraz nie mam tego prawa,
I słyszę Cię jak mówisz słowami cichemi:
"Żadna nie jest mi obca małość i pokusa,
Zmierzyłem to, co wzniosłe i nędzne na ziemi,
Jak Piotr, co kiedyś przecież zaparł się Chrystusa".
Lecz jemu powiedziano: "Będziesz z prawej strony
Przed tym, co nie znał wahań i skruchy i lęku!"
I stoisz oto Boyu, bardzo zawstydzony,
Trzymając pióro w jednym, palmę w drugim ręku!

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Współczesna literatura polska na emigracji

*)

Nie chciałbym być uzupatorem praw, których sam nie przyznałbym nikomu, dlatego zaraz na wstępie do tych rozważań muszę zaznaczyć, że nie wydaje mi się możliwe sformułowanie syntetycznego sądu o literaturze emigracji dziś, gdy uchodźtwo nie zamknęło swej historji a piśmiennictwo nie ukończyło pracy. Wszystko cokolwiek na temat zawarty w tytule powierzonej mi prelekcji dałoby się powiedzieć, nie ominie niebezpieczeństwa pochopności i przedwczesnego pośpiechu. Ale nietylko na tem polega zwodniczość mówienia o sprawach, które od nas nie odeszły na odległość umożliwiającą objektywne spojrzenie lecz które żyją tuż przy nas lub wręcz wypełniają nasze życie po brzegi. Muza dziejów zmienia nam bezustannie widzenie rzeczy i to z taką szybkością, że zmianom tym nie może nadążyć ani dalekowidztwo historyczne ani nawet swobodna wyobraźnia. Nie jest to tylko kłótnia spraw wiecznych z powierzchownością sezonowych twierdzeń lub uprzedzeń, każdy przykład zaświadczy, że przemiany te sięgają głęboko, czasem do samego spodu myślenia.

Polski wrzesień 1939 roku wydawał się nam we Francji klęską nie do pojęcia a w rok potem nabrał zgoła innego wyrazu i wymiaru. Udział naszych lotników w t. zw. Battle of Britain, jedynych wówczas aktywnych obrońców wyspy wolności z pośród wszystkich sprzymierzeńców nadał sile i prawom Polski, jeśli nie nowe, to jakby odnowione znaczenie, ale wystarczyło trzech lat, aby z wysokości na których zapisała się glorja ich czynów, prawa nasze zeszły do poziomu takich lub innych ale w każdym razie dyskusyj politycznych.

Ten sam czas, który z przepaści podnosi nas ku górze, strąca nas z wyżyn w dół, niedaleko od nowej otchłani. Żyjemy w nim jakgdyby wewnątrz otwartej pulsującej rany, bardziej porażeni cierpieniem, niż świadomi swej zguby lub ratunku. Kataklizm, który wybija świat z orbity, wykoleja i nas, którzy raczej szukamy ocalenia niż ciekawi jesteśmy analizy doświadczeń. Śród tych zaburzeń i przewrotów zdobyć się na próbę objektywizacji, wznieść się ponad wszystko co nas gubi i wywyższa, niszczy i zbawia — na to trzeba zaiste nadludzkiej równowagi i siły, a może nieludzkiego znieczulenia i obojętności. Dopóki literatura nie owładnie swoją epoką, może z nią tylko współżyć. Zaryzykowałbym twierdzenie, że w tem właśnie stadjum znajduje się dziś piśmiennictwo emigracyjne.

Złożyło się jednak tak, że Polak na emigracji przywykł oczekiwać od sumy zjawisk zwanych literaturą nietylko współżycia z epoką lecz czegoś więcej. Datuje się to z przeszłości — niewiadomo jak się wyrazić w tym wypadku — dalekiej czy bliskiej, z przed 110 lat. Romantyzm polski, który w istocie był literaturą emigracyjną owych czasów, świeci takim blaskiem genjuszów i osiągnął takie szczyty, że ośmielam się wywoływać imię jego w tem miejscu tylko z konieczności. Daremnie szukać u nas i gdzieindziej, w dziejach obcych piśmiennictw wszystkich czasów, takiego zrostu słowa i natchnienia z bytem narodu jakim był ów wiek, w którym paliły się serca Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Zaleskiego, Norwida, Mochnackiego. Romantyzm jest zrośnięty z Polską tak chyba jak tylko Iljada z Grecją lub sagi i epopeje nordyckie ze Skandynawją, a wpływ jego na życie narodu był nawet większy.

"Konrad Wallenrod" spadł na Polskę tak samo jak okrzyk Podchorążych wołających "do broni" podczas przemarszu na Nowym Świecie w Warszawie. "Dziady" były nietylko płaczem Kassandry i wszystkch Parek nad losem Polaków lecz jednocześnie księgą Genezis naszej Biblji, narodzinami Konrada i Gustawa, których metampsychoza miała odtąd stać się przedziwną zasadą polskiego bohaterstwa. W "Nieboskiej Komedji" dziewiętnastoletni hrabia przeczuł najgłębsze przemiany społeczne przyszłych epok a w "Prometidjonie" najsamotniejszy poeta rozsnuł marzenia niedalekie od tego co dziś nazywamy planowaniem przyszłości. Takie wiersze jak "Do Matki Polki" lub "Grób Agamemnona" robiły rachunek sumienia za cały naród, dawały wskazania współczesnym lub ich oskarżały, z wyrazistością i namiętnością, które gdzieindziej szukały dla siebie trybun parlamentarnych. Jeśli dodamy do tego, że "Pan Tadeusz" stał się wszechstronną i epokową instytucją, wygnańczem biurem podróży do Polski i powrotów do szczęścia, propagandą kraju i obyczaju, uniwersytetem wiedzy o codziennem polskiem życiu, akademją wychowawczą dla przyszłych pokoleń, a wykłady w College de France i publicystyka w "Trybunie Ludów" prowadziła wprost do akcji czynnej — i jeśli uprzytomnimy sobie, że ten "rząd dusz" sprawowany był przez poetów, którzy w swojem rzemiośle tworzyli, jak Słowacki, rewolucję poetycką i nową szkołę pisarską — zgodzimy się, że w wyjątkowej sytuacji narodu romantyzm okazał się przewodnikiem naprawdę wyjątkowym.

Porównanie obecnego wychodźtwa z emigracją po roku 1831 jest w istocie złudą rozwiewającą się nawet bez szczegółowego rozpatrzenia. Nasz byt państwowy nie uległ zniszczeniu, acz ziemie nasze zostały jak wówczas podbite przez wroga. Emigrant popowstaniowy nie miał nic z tego, co znaczy dziś dla nas konstytucja, prezydent Rzeczypospolitej, rząd, skarb, polityka zagraniczna i wojsko. Literatura może więc i ma prawo w teorji czuć się tak jak za czasów wolności, oddając co boskiego Bogu a co cesarskiego cesarzowi, powierzając ambasady, w których za romantyzmu broniła praw polskich przed światem, autentycznym ambasadorom, ustępując propagandę propagandzistom a planowanie tak licznym dziś biurom i fachowcom w tej norwidowskiej dziedzinie.

W teorji — bo w praktyce postawa taka byłaby dziś pozbawiona odruchu człowieczeństwa i wspomnieć o niej można tylko jako o djalektycznym szczególe. Był jednak czas kiedy oswobodzenie naszej literatury z tego, co możnaby nazwać posłannictwem polskości stało się właśnie najbardziej polskim jej programem. Stefan Żeromski mówiąc o konieczności stworzenia Akademji Literatury—a odczyt o tem wygłosił niedługo po powstaniu państwa — wróżył zebranym, że wraz z wolnością nadejdzie czas kiedy pisarz polski porzuci tematy i sprawy dotyczące tylko jego narodu i dołączy się do plejady twórców oddanych sprawom świata i ludzkości. To rozgraniczenie, które zresztą ma w sobie zawsze jakiś odcień scholastyczny, wydawało się wówczas osobliwie aktualne i po dziś dzień

Dokończenie na str. 2-ej

*) Odczyt wygłoszony w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Jorku.

(dalszy ciąg ze strony 1-szej)

Współczesna literatura polska na emigracji

bywa cytowane jako nieosiągnięty postulat.

Trudno zaprzeczyć, że kredowe koło, które zakreśliła wokół siebie nasza literatura, i w którem zamknęła się jakby w egzegetyce spraw narodowych, odgranicza ją od świata i obok 123 lat bezpaństwowych stanowi niewątpliwie najważniejszą przyczynę, iż jedno z najświetniejszych piśmiennictw jest w gruncie rzeczy nieznane poza granicami życia i języka polskiego. Mało tego — uderzający jest fakt, że najbardziej niedostępne pozostały dla obcych właśnie największe nasze dzieła a największe dlatego, że najgłębiej sięgające w losy narodu. Można jeszcze spierać się — i to bardzo po akademicku, — że np. Fredro mógłby należeć do największych repertuarów świata, gdyby stało za nim państwo ze wszystkimi swoimi atrybutami, t. zn. wpływem na świat, poszerzeniem języka, ciekawością obcych itd. Można przypuszczać, że jego stylowość bez skazy, panache kontuszowy, nieporównany wiersz, świetne właściwości teatralne, słowem cały ten zachwycający polonez, w którym uczestniczymy słuchając "Zemsty," nie byłby obojętny dla świata i olśniłby go tak lub choćby w części tak jak nas olśniewa.

Czyż można jednak wyobrazić sobie, by otwarły się serca i umysły obcych przed genjuszem Wyspiańskiego, przed "Weselem" i "Wyzwoleniem," temi dwiema rozprawami z niewolą, którym równych nie zna nikt poza nami, podobnie jak nikt nie zapoznał się tak jak my z ciemnością życia w niewoli? A przecież ci z nas, którzy znają teatr polski i teatr zagraniczny, mogą powiedzieć bez przesady, że właśnie w Wyspiańskim teatr europejski mógłby się odrodzić, że Wyspiański podjął najambitniejsze zadanie ze wszystkich poetów nowszych czasów, a mianowicie powrotu do teatru monumentalnego i nawiązania do tradycji greckiej i że siła jego dzieła nie ustępuje pierwowzorom. Usiłowania Wyspiańskiego nie były nieznane obcym. Spotkałem się z tym niezwykłym objawem osobiście. Zdarzyło mi się rozmawiać z Gordonem Craigiem, który bardzo dobrze orjentował się w dziele Wyspiańskiego i wypytywał się o szczegóły ze zdumiewającem znawstwem całości. Jeden z obcych ambasadorów w Warszawie po przedstawieniu "Wesela" mówił mi, że pokazanie tej sztuki w stolicy jego kraju, przy odpowiednim kontekście i komentarzu, wzbudziłoby najżywsze zainteresowanie. Próby podejmowane w celu pokazania Wyspiańskiego zagranicy potwierdziły jednak narzucające się z góry przekonanie, że sztuka jego nie otworzy przed obcymi swej hermetycznie zamkniętej polskości a więc i poezji. Szlachetne lecz nieudane starania Adama Łady Cybulskiego, tłumacza "Wesela" na francuskie, który doprowadził nawet do wystawienia tej sztuki w Paryżu, są tego przekonywującym choć niekoniecznie potrzebnym dowodem.

Na dygresję tę pozwalam sobie dlatego, że zdaniem mojem osobliwa wyłączność literatury polskiej, jej odrębność od innych, jej "splendid isolation," nie jest jeszcze jednem polskiem szaleństwem, którem chcemy wybić się śród świata, uciekając od jego zrozumienia, lecz jest czemś naturalnem choć może dokuczliwem, czemś bardzo zrozumiałem choć od wnętrza tak niepojętem, i czemś jedynem i nieporównanem, choć jeszcze raz po polsku niepraktycznem. I nikt nic na to nie poradzi, póki za twórczością naszą nie stanie pewny i spokojny byt narodu i póki nie zabezpieczy jej państwo, zapewniając sztuce wolność bez żadnych przymusów, z tem zrozumieniem jej samowiedzy i samowystarczalności, jakie wszędzie i zawsze jest warunkiem swobody tworzenia.

Nic jaśniej nie wyrazi jak pomylił się Żeromski w swej wróżbie, niż koleje piśmiennictwa na emigracji. Pióro polskie jest znowu w służbie polskiej sprawy. Podjęło swą pracę dobrowolnie, z przyrodzonego popędu, dumnie i namiętnie. Ta sama literatura, która zaprzeczyła wróżbom o jej przyszłości, potwierdziła jednak słowa Żeromskiego ze "Snu o szpadzie," że gdyby nawet wszyscy opuścili żołnierza polskiego, nie zdradzi go polska poezja.

Odezwała się ona już w roku 1939 a pierwsze książki ukazały się we wrześniu 1940.

Gdy żołnierz polski opuszczony naprawdę przez wszystkich na pobojowisku samotnej swojej wojny z przeciwnikiem, którego przemocy nikt nawet nie przeczuł, bił się, przegrywał, zwyciężał i ginął w bezprzykładnym porywie poświęcenia i rozpaczliwej odwagi, gdy naród ani na sekundę nie wzdrygnął się przyjąć swój los jako samopalenie i cały bez wyłomu znalazł się śród walczących w najbardziej tragicznym oporze, poezja pierwsza podchwyciła odgłos tych wydarzeń. Jeśli nie w skali odpowiadającej powszechnej tragedji, to jednak z wierną dokładnością powtórzyła wszystko co nurtowało nas wówczas: od bólu i gniewu do żałości i zdumienia, od nienawiści wroga do popłochu wewnętrznego i oszołomień serca, od biologicznego niejako protestu przeciw potworności wojny do prób uświadomienia sobie tego, co jest jej sensem i przeznaczeniem historycznem. Nierozumiany i przez nas samych niestety zniesławiany wrzesień wznosił się zwolna ponad namiętności, pamięć i wzruszenie ogarniały całość nadludzkiego wysiłku i drobne szczegóły wydarzeń, wielkość wywyższała serca i urzekała je swoją magją, wspomnienia z dzieciństwa mieszały się z najbliższą realnością, ludzie żyjący z pomnikami, Starzyński z Żółkiewskim, Książę Józef z Kleebergiem — aż przed poezją wzniósł się mit ledwie minionych dni, co tak prosto i pięknie wyraziło się w wierszu Lechonia p. t. "Legenda":

Wszystkie słowa podniosłe, któreś znał ze
  szkoły,
Muzyka starych pieśni, wolności anioły,
Książę Józef na koniu, wiszący nad
  biurkiem,
I olbrzymi Batory w małej czapce z
  piórkiem,
I młodzieniec z Grottgera, co żegna swą
  miłą,
Pocztówka z białym orłem — wszystko to
  ożyło!
I oto między niemi jako brylant krwawy
Świeci mur zburzonego Katedry ołtarza,
Leży kamień zwyczajny, z ulicy Warszawy,
Stara chustka służącej, czapka gazeciarza,
Wśród stalowych husarzy skrzydlatego
  szyku
Widzisz pana niskiego w czarnym
  meloniku,

A dalej, gdzie więzienia gruby mur i wieże,
Generała Kleeberga podniesiona głowa,
I słyszysz (czyś mógł myśleć?) równie
  piękne sowa,
Jak tamte, które kiedyś umilkły w Elsterze.

Najwięcej tego mitu i najwięcej poetyczności z tej dziedziny przemienionego czasu daje nam czarująca i już dziś godna zaliczenia do arcydzieł polskich książka Stanisława Balińskiego p. t. "Wielka podróż." Jest to podróż podwójna, podróż człowieka przez miasta i kraje, z Polski przez Paryż do Anglji, i podróż wyobraźni w czasie, poprzez zdarzenia współczesne wstecz ku przeszłości sielskiej-anielskiej, tragicznej i patetycznej, lub raczej są to oba te kursy jednocześnie. Mało jest zbiorów poetyckich tak jednolitych i tak w jednej, czystej i nigdzie nie zmąconej tonacji utrzymanych, jak ten cykl wspomnień, trosk, załamań i nadziei spisany prostem i dziwnie serdecznem piórem.

Autor poprzednio wydanego zbioru wierszy "Wieczór na Wschodzie" i tomu opowiadań "Miasto księżyców" zdawna wychował w sobie miękką, marzycielską czułość wobec świata i obok niej żywił — jeśli można to tak nazwać — predylekcję do tajemniczości istnienia. Stosunek ten obywał się bez faustowskich namiętności i lucyferycznych dramatów, może zastępował marzycielowi potrzebę metafizyki — w każdym razie był intymny, sekretny, niejako na prywatny użytek. Czułość i miękkość poezji Balińskiego miała coś z muzycznego nieograniczenia i razem z tamtą intymnością tworzyła instrument raczej do rozkoszy estetycznych niż do bojów o świat i człowieka. Nagle w ten klawesyn poetycki wpadł huragan czasu i — o dziwo — wydobył z niego dźwięki nietylko nie fałszywe lecz idealnie nieskazitelne, prawdomówne i nawskroś przenikające.

Materja poezji Balińskiego nie postradała nic ze swego uroku pod tem uderzeniem, jego piękne obrazy stały się nie estetycznym naddatkiem lecz koniecznością plastyczną, kolory przyrównywane do barw owoców trafiały wprost w wyobraźnię, muzyczność rozprzestrzeniała odgłos wiersza daleko poza strofę, a nawet pospolite — chciałoby się rzec — dziennikarskie prozaizmy, wprowadzone często do tekstu, który powstawał z najszlachetniejszego kruszczu, wydają się na swojem miejscu, doprawdy niewiadomo dlaczego, przez urzeczenie poetyckie czy też nieoczekiwany dysonans. Prostota tych wierszy wynikła z bogatej i skomplikowanej natury i unosi się nad nią niby mądrość nad wiedzą i miłość nad doświadczeniem. Swój confiteor poetycki wypowiedział Baliński w wierszu "Wojna bez pieśni":

W tej wojnie bez litości, w tej wojnie bez
  skargi,
Nie trzeba słów krzepiących i fanfar
  bojowych:
Dość haseł wymawianych przez pokorne
  wargi,
I gestów przed któremi schylały się głowy.

Zawiodły słowa wzniosłe, nie stały się
  ciałem,
Ale garścią popiołów na pobojowiskach...
Przybądź nowa ojczyzno, jaką mieć cię
  chciałem,
Togom i wieńcom — obca, zwykłym
  ludziom — bliska!

W tej wojnie bez litości nie potrzeba
  pieśni,
Co mają kwitnąć chmurnie na krwi i
  cierpieniu,
Żeby zwyciężyć dzisiaj i zwycięstw nie
  prześnić,
Trzeba przyciszyć struny i walczyć w
  milczeniu.

Nie bójmy się milczenia. W wojnie i
  nieszczęściu,
Gdy zamiast ludzi niebo przemawia i bije,
Słowo niech będzie skąpe lecz ma siłę
  pięści,
A pieśń niech na dno serca zejdzie — i
  tam żyje.

W sobie odnajdziesz zawsze wierny szept
  miłości,
Co drga, jak wieczna gwiazda, naprzeciw
  złu świata,
Idź, jak szedłeś przed laty przez ogród
  młodości,
Po stokrotnie deptanych i wciąż żywych
  kwiatach.

Stamtąd rodzą się pieśni z nienazwaną
  siłą:
Z ziemi co cię wydała, z chmur co nad nią
  stoją,
Z pól pachnących naprzemian chlebem i
  mogiłą,
Z cichych wieczorów letnich... — I każdy
  ma swoją.

Gdy czarny ciężar zwątpień zaciąży zbyt
  mocno,
Gdy ziemia drży a niebo motorami warczy,
Wyciągnij pieśń najcichszą — ciemną porą
  nocną —
Jak stary list od matki. I to ci wystarczy.

I nie bój się tych wzruszeń, przyjacielu
  miły,
Bo w nich są te najcichsze i najgłębsze
  siły.
Bo w nich są moce takie, o jakich się nie
  śni...
W tej wojnie bez litości, w tej wojnie bez
  pieśni.

Możnaby spierać się z tą teorją milczenia, któremu zaprzecza obfita — na szczęście — twórczość małomównego dotychczas poety, możnaby z pewnością udowodnić, że jeśli słowo ma mieć "siłę pięści" niekoniecznie musi unikać "krwi i cierpienia" i że tak jak ziemia rodzinna wydaje się najczystszem źródłem cichych i rzewnych natchnień "w tej wojnie bez litości." tak samo czas, nasza epoka gradowych chmur i śmiercionośnych piorunów, woła o szaleństwo poetów, jedynych ludzi ważących się wykradać ogień bogów. Możnaby się o to spierać — ale czy wszelka kłótnia nie zamilknie wobec tego listu matki, który Baliński wyjmuje z końcowych zwrotek wiersza, niby ostatnią prawdę zpod serca każdego człowieka?

Siła Balińskiego nie leży w programowości czy konstrukcji ideowej, leży w samym rdzeniu, w samej magmie poetyckiej, w której dokonał on jakby odcieleśnienia i sublimacji Polski. Gdy czyta się "Wielką podróż", podróżuje się nietylko przez kraj nasz i jego historję, lecz jakby przez samą legendę polskości. Krzemieniec i Paryż, Szopen i Moniuszko, premjera "Wesela" i rozmaryn Piłsudskiego, to tylko nazwy orjentacyjne na mitologicznej mapie. Nawet Warszawa z prześlicznego poematu, który mógłby napisać jakiś polski Cocteau a ilustrować polski Picasso z jego klasyczno-sentymentalnej epoki, wychodzi ze swoich ram i mimo że jest taka realna, tak dosłownie powtórzona, pełna nazwisk ludzi, ulic, placów, Bliklego i Galińskiego — rozwiewa się i ulatnia jak zapach zioła roztartego z ręki. Mamy zmysłową złudę, że jesteśmy gdzieś gdzie nas niema, podróżujemy po własnej i najdroższej ziemi, leżącej daleko od nas, żyjemy życiem, które choć minęło, nie straciło władzy nad nami. Baliński jest w pewnym sensie najbardziej "emigracyjnym" poetą, zna wszystkie sekrety naszego rozdwojenia i nieomylnie wyraża je za nas wszystkich. Dlatego poezja jego jest tak nam bliska, tak nam droga i dlatego tak bardzo za nią jesteśmy poecie wdzięczni.

Równie szlachetny i jednolity charakter acz innemi pochłonięty sprawami posiada twórczość Marji Pawlikowskiej, autorki dwu zbiorów wierszy wydanych w Anglji: "Róża i lasy płonące" i "Gołąb ofiarny". Jest to wojna poety z wojną rzeczywistą, wzruszający obraz człowieka broniącego swych praw przed najstraszniejszą zbrodnią świata. Całe bogactwo natury Pawlikowskiej, jej genjusz przenikania każdej drobiny istnienia, wyrafinowany a najpierwszy w smaku zmysł piękna, wszystko to staje przed apokalipsą wojny jak przed nadciągającą zgubą. Na oczach naszych dokonywa się nowa przemiana, równie zdumiewająca jak u Balińskiego a może bardziej niespodziewana, dramatyczna i bohaterska.

Ta czarodziejska pani, która zajmowała się dawniej tylko rzucaniem i odczynianiem uroków poetyckich i która mogła wszystkich zwieść złudą swego parnasizmu, mistrzyni minjatury, finezji i dowcipu, bajczarka zakochana w miłości i zatopiona w jej wiedzy, zawodach i lekach, safickiego natchnienia poemat o rozkoszach i melancholji serca — odwraca się teraz od wszystkich swych umiłowań i pasyj.

Pawlikowska nie poddaje się gradowej, śmiercionośnej chmurze, samotna i — zdawałoby się — bezbronna, buntuje się przeciw najsilniejszemu przeciwnikowi: wrodzonemu złu człowieka. Każde prawo biologiczne jest czystsze niż świat rządzony przez przewrotną świadomość i złą wolę. O ile dostojniesze niż życie ludów jest życie natury, wszechwładnej a niezbadanej, "tej która w życiu była pierwszą i będzie ostatnią" i której nikt nie wysiedli z jej "włości wszechobecnych". Przyrównując tęczę do sztandaru przyrody woła poetka ascetyczną strofą bez rymu:

Tęczo, chorągwio, wzniosła ponad pawilony
Wszystkich krajów! Zaborcy rękom
  niedosięgła!
Siedmiobarwną kokardę nosić chcę na
  piersi
I na wielkość narodów przez ramię
  spoglądać.

Złamane skrzydła moje, poszarpaną
  przeszłość,
Składam przed tobą. Odtąd, promieniejąc
  dumą,
Patrzeć będę bez trwogi i bez uniesienia
Na zmienianą co roku mapę geografji...

O zachowanie ciebie modlić się nie muszę
Gdyż sama się zachowasz, boś na wieki
  wieczna.

Pawlikowska mobilizuje cały świat przyrodniczy, by przeciwstawić go światu człowieka, widmu wojującego chaosu. Drapieżne ptaki, dzikie zwierzęta puszcz i pustyń a nawet otchłanie morza pełne nieustannej walki stworzenia wydają się jej bardziej zrozumiałe, niż nierozum i gwałt ludzki. W jednym z fragmentów swego przepięknego notatnika poetyckiego pisze:

"Morze ma kolor wojny, stalowy i żelazny; piany są jak dymy, głębie jak śmierć.

Niebo, wpatrzone w te odmęty chmurne, oddech ich parny pijące, wspólnemi barwami z niemi się dzielące, pozazdrościło im drapieżności i grozy. Teraz i ono szaleje, ożywione człowiekiem, jest areną pościgów i walk, których okrucieństwa nie znają nawet najciemniejsze, szlamowe kresy głębokości.

Te ostatnie trzy lata wojenne są mi obce jak sprawy dnia morskiego. Boże broń nas od drapieżnej ciemności odmętów, których nie tu miejsce. Nie powinno być obco i nieswojo wodnym bestjom w morzu, a ludziom na lądzie w słońcu. Zle jest człowiekowi w chaosie!

Nie poto wyszedł z otchłani przyrody, dumny, z głową wzniesioną. Smutny i pełen upokorzenia jest taki potwór powrotny, cofający się w morski, groźny ciemny szlam..."

Jest coś z porywu prometeidów w tym proteście, buncie i walkach podjętych przez najbardziej kobiecą muzę naszego piśmiennictwa. Jest coś do głębi przejmującego w tem nagłem objawieniu świadomości moralnej, która triumfuje nad wzruszeniem estetycznem. Pawlikowska walczy o ratunek człowieka wbrew człowiekowi, o ocalenie świata wbrew światu. Walczy poza czasem i historją, poza ideami i kulturą, lecz bynajmniej nie w bezprzestrzennej pustce. Przyjąwszy, że wojna jest kataklizmem przyrodniczym — jak to określi Tymon Terlecki — poetka toczy swój bój w tych regjonach świadomości, gdzie człowiek spotyka się z Bogiem i gdzie powstają religje.

Pełna troski o świat, myśli o Polsce, wspomnień o Krakowie i tęsknoty za krajem, odrywa się raz po raz od tragizmu ziemi i przeciwstawia swą ludzkość demonom, które niszczą nasz los i odczłowieczają istnienie. Niespodziewana i zdumiewająca siła pozwala jej znieść samotność tej walki, lecz jakże często poetka może powiedzieć o sobie, jak w tych czterech linijkach, zatytułowanych "Mrowisko":

Z wysokiej patrzę wieży na ludzkie
  mrowisko
Gdy się podemną w dole rozpościera
  nisko,
Skrzętne, śmieszne, obłędne.
  Ale ja, któż jestem?
Poetka? więc skrzydlata mrówka,
  ot i wszystko.

Trudno przewidzieć dokąd zajdzie Pawlikowska w swej górnej i chmurnej drodze, już jednak to, co nam dała dotychczas, świadczyć będzie zawsze, że śród przełomu dziejów nie brakło śród nas człowieka walczącego z chaosem, który sam rozpętał, poety wołającego o ratunek ludzkości, gdy niedowidząc kołowała nad zgubą. i duszy kobiecej, biorącej na siebie najtrudniejsze, najbardziej męskie zadanie.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

STEPHEN VINCENT BENET

LITANJA ZA OFIARY DYKTATUR

("LITANY FOR DICTATORSHIPS")

Za wszystkich, których biją, za łby roztrzaskane,
Za głodnych, prostotliwych i uciemiężonych,
Za te upiory w płonącej stolicy naszego wieku...

Za tych, co w szybkobieżnych wywozi się wozach
Do takich domów, gdzie biją ich, biją,
I biją w kunszcie bicia wprawione chłopaki,
Chłopaki o pięściach gumowych —
Kładą ich i biją, a krawędzie stołów
W lędźwia im się wrzynają, albo też w pachwiny
Ich kopią — i rzucają, a ci porzuceni
Leżą z mięśniami zwiotczałemi, jak te
Bezgłowe kury na podłodze jatki.
Tymczasem wprowadzają następnego. Oczy
Ze strachu mu zbielały i tępo się gapią.
Za tych, co wciąż wołają: "Front Czerwony!",
Lub: "Boże zbaw Koronę!"
Ale i za tych, którym brak odwagi,
A mimo to są bici.
I za tych co spokojnie wypluwają w sieni
Krwawiące pieńki swych wybitych zębów,
I zdrowo śpią na łożu z kamienia lub żelaza,
Czekając na stosowną chwilę, by w ustępie
Strażnika zakatrupić — zanim sami zdechną.
Za tych, co mają oczy głęboko wpadnięte,
A jednak płonące jak lampy.

Za tych, co noszą blizny, za tych, co kuleją,
Za tych, którym kopią bezimienne groby
Na więziennym dziedzińcu. Nim zaświta ranek
Ziemia na tych mogiłach już jest udeptana
Z powrotem, gładziuteńko — i spryskana wapnem.

Za mordowanych odrazu, jakoteż i za tych,
Którym miesiące, lata upływają w znoju,
W czuwaniu i w nadziei. Każdego dnia chodzą
Do pracy, lub do sekretnego klubu,
Albo się ustawiają w ogonku po mięso.
A przytem żyją, dzieci płodzą i szmuglują strzelby,
Aż ich w końcu przychwycą i zatłuką niby
Te szczury w rynsztoku.
Za tych, co w sposób nieprawdopodobny
Uciec zdołali, aby na wygnaniu
Pędzić swe życie i wśród nas się tułać.
Za tych, co w ciasnych klitkach żyją obcych miast
I do wsi tęsknią, do traw zielonych i wysokich,
Do głosów dzieciństwa, do mowy i wiatrów
Co niegdyś wiały i do kształtu izb,
Do kawy pitej przy stole i do pogawędki
Z przyjaciółmi i do umiłowanego
Miasta i do fizjognomji kelnera
I do nagrobków z wyrytem nazwiskiem,
Do nagrobków, pod którymi nigdy
Nie będą leżeli, albowiem wogóle
Nie będą w tej ziemi leżeli.
Ich dzieci — to obcy już ludzie.

Za tych, co układali plany, byli przywódcami
I byli bici.
A także za pokornych i ograniczonych,
Co żadnych planów nie mieli, a przecie
Ich też, ich też zadenuncjowano,
A przecie rósł w nich gniew,
A przecie dowcipkowali, a przecie
Nie potrafili się wytłumaczyć, a przecie
Zabrano ich do obozu, a przecie
Ciała ich odesłano w zaplombowanych trumnach
Z dopiskiem: "Zmarł na zapalenie płuc."
Z dopiskiem: "Zginął usiłując zbiec."

Za tych, co siali zboże i przy własnych stertach
Pszenicy zostali rozstrzelani.
Za tych siewców chleba, których wywieziono
Na zlodowaciałe pustynie, atoli w ich ciałach
Wciąż trwa wspomnienie ich pól.

Za tych, na których donos zrobiły własne dzieci,
Straszliwe, zadowolone z siebie dzieci,
Denuncjujące swoich ojców — za miętówkę,
I za pochwałę od Doskonałego Państwa.
Za wszystkich uduszonych, za wszystkich skastrowanych,
Lub też poprostu zamorzonych głodem
Gwoli istnieniu Doskonałych Państw.
Za księdza powieszonego w sutannie,
Za Żyda z rozwaloną klatką piersiową
I konającemi oczami.

Za rewolucjonistę, którego zlinczowały
Specjalne drużyny — gwoli utworzeniu
Doskonałych Państw — w imieniu
Doskonałych Państw.

Za tych, których zdradzili sąsiedzi, ściskając im dłonie,
Jako za zdrajców, co usiedli na twardym stołku,
A krople potu spływają im z włosów,
A palce w ustawicznym znajdują się ruchu,
A usta wymieniają dom, ulicę, numer
Oraz nazwisko człowieka.

I za tych, co przy stole siedzą sobie w domu,
W blasku lampy, nad talerzem, w odorze jedzenia,
I gwarzą sobie spokojnie, — wtem słyszą: samochód,
Ktoś wali w drzwi — i szybko po sobie spojrzeli,
Z twarzą zdrętwiałą kobieta wychodzi, otwiera,
I suknię na sobie wygładza.
"Tu sami lojalni mieszkają
Obywatele. Wierzymy w Państwo Doskonałe."

A było to, gdy ostatni raz przyszedł do domu
Tony, czy Karol, czy Ktobądź. A później zlikwidowano
Całą rodzinę, to było ostatni raz. I słyszelim
Strzały po nocy, lecz nikt z nas nazajutrz rano nie wiedział
Co się stało, a człowiek do pracy przecie iść musi.
Tak to go już nie widzielim od trzech dni i bezmała
Rozumu człek nie postradał od wszystkich ichnich patroli,
Co po ulicach łaziły z temi świńskimi gwerami.
No, a jak wrócił do domu, wyglądał niby urżnięty
I była na nim krew.

Za te niewiasty, co nocą sekretnie płaczą swych mężów,
Za dzieci wytresowane, aby milczały jak groby,
Za dzieci, za stare dzieci, za dzieci oplute w szkole.

Za splądrowaną pracownię, za wypatroszone mieszkanie,
Za malowidło nawozem skalane, za studnie — uryną
Zanieczyszczone, za nagi zewłok Wiedzy ciśnięty
Na skwer, a nikt nawet ręki nie podniósł, a nawet
Nikt nie przemówił.

Za pistoletowej lufy ziąb, za kuli gorącość,
Za sznur, co dławi, za ucisk kajdan i skrępowanie,
Za głos potworny z metalu, z tysiąca kłamiący głośników
I za szczekanie kaemów wszystkiemu odszczekujące.

Za człowieka na skrzyżowanych karabinach maszynowych
Ukrzyżowanego,
Bez nazwiska, bez gwiazd i bez zmartwychwstania.
Ciemna jego głowa nabrzmiała śmiercią, a ciało
Przesiąkło zaduchami mnogich cel więziennych,
John Smith, John Nikt jego imię, Jan Bezimienny, Anonim,
Ach, łam sobie głowę, łam, aż imię to zapamiętasz!
On — bez oblicza jak woda jest, i nagi jako proch ziemi,
Shańbiony on jako ziemia, którą zatruły pociski,
Pełne trujących gazów, — i barbarzyńskie fatum.
Oto on!
Oto mąż, którego oni zjedli przy stole zielonym,
A rękawiczki włożyli, nim jego mięso dotknęli.
Oto jest owoc wojny, oto jest owoc pokoju,
Oto dojrzałość odkrycia, oto jest nowy baranek,
Oto odpowiedź na wszystką mądrość mędrca, i ciągle
Wisi on, wisi i wcale skonać nie może.
I wciąż w stalowej stolicy naszego czasu — brak światła
A jeno krew przeraźliwa cieknie i cieknie i cieknie.

Mniemaliśmy, że te sprawy już przeminęły, lecz w błędzie
Byliśmy wielkim.
Mniemaliśmy, że jesteśmy mądrzy, gdyż mamy potęgę.
Mniemaliśmy, że ten długi pociąg toczyć się będzie do kresu
Wszystkiego Czasu.
Mniemaliśmy, o mniemali, że światłość będzie wzrastała.
A oto długi ten pociąg bez ruchu stoi, strącony
Z szyn, a bandyci go ograbiają — a oto
Za naszych dni rządzi światem żmija i dziki odyniec,
A noc się toczy z powrotem ku Zachodowi, a noc ta
Jest nieprzerwana.
Ojcowie nasi i my posialiśmy zęby smoka.
Dzieci nasze poznały i znoszą oto na sobie
Pięść męża, co chadza w zbroi.

Przełożył z oryginału angielskiego *JÓZEF WITTLIN.*

LAURA BENET

Stephen Vincent Benét Amerykanin

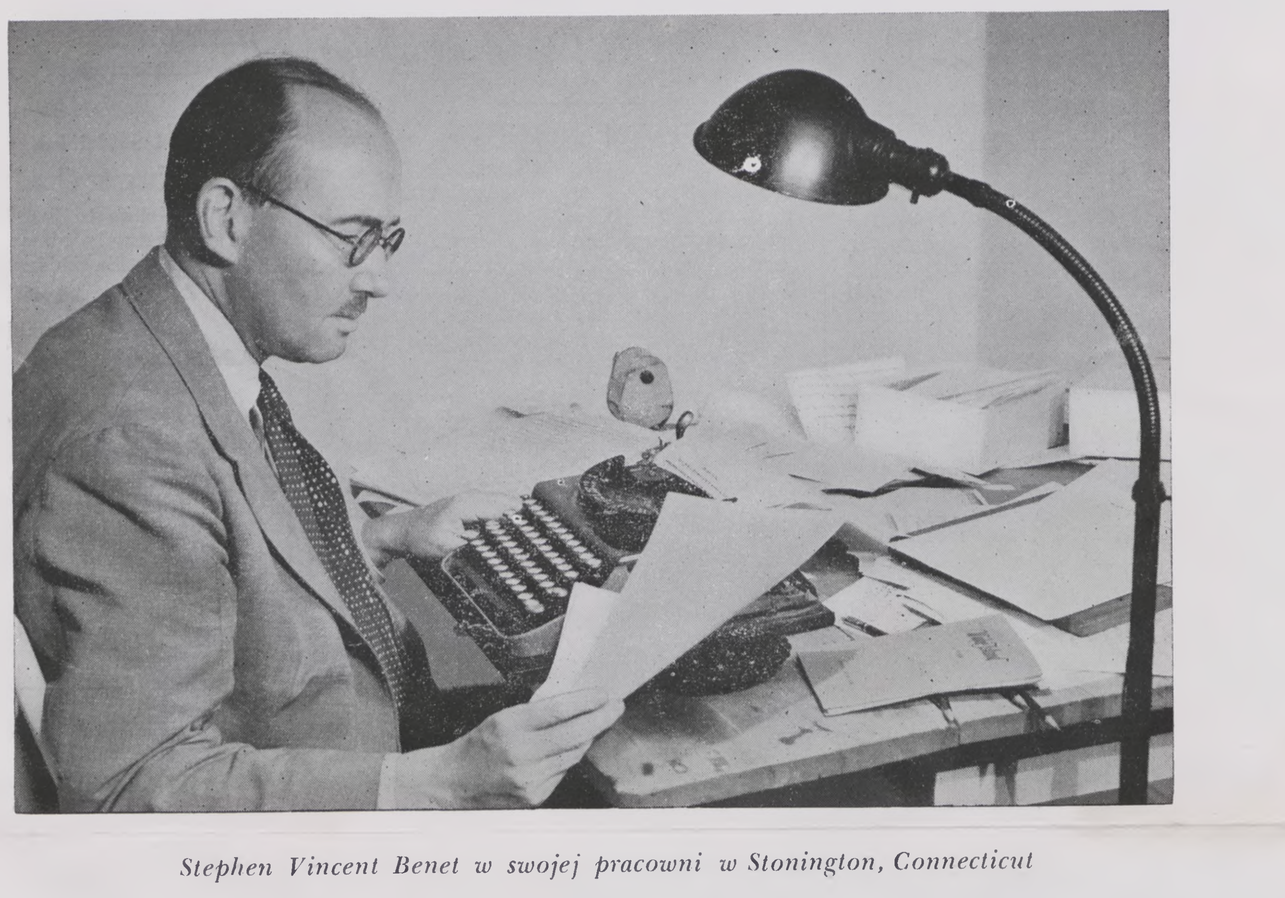
W marcu b. r. zmarł nagle, przeżywszy 45 lat, jeden z największych poetów współczesnej Ameryki, Stephen Vincent Benet.

"Tygodnik Polski" jest pismem redagowanem przez polskich poetów przebywających w Stanach Zjednoczonych. Pragniemy złożyć skromny hołd pamięci piewcy tego kraju, który nam udziela gościny i pozwala tworzyć w naszym języku.

Stephen Vincent był gorącym orędownikiem ideałów demokratycznych. To on napisał słynną modlitwę dla Prezydenta Roosevelta, odczytaną przez radjo z Białego Domu, po Pearl Harbor.

Stephen Vincent Benet jest słusznie uważany za następcę Walta Whitmana, który tak blisko był naszemu sercu w epoce, gdy kształtowała się nowa poezja niepodległej Polski.

Cześć pamięci szlachetnego poety!



Stephen Vincent Benet w swojej pracowni w Stonington, Connecticut

Ameryka, która była dziedzictwem i tworzywem Stephena Benet, przyszła doń tak naturalnie, jak powietrze, którem oddychał. Dziad jego, po którym Stephen nosił imię, był absolwentem West Point i oficerem Korpusu Intendentury. Dziadek ów, mimo iż hiszpańskiego pochodzenia i urodzony w Florydzie, po wybuchu wojny domowej zachował lojalność wobec Unji i Stanów Północnych. Syn jego, James Walker Benet, ojciec Stephena, był również absolwentem West Point i po krótkiej służbie w piechocie i artylerji został przeniesiony do Intendentury. Stephen, jego najmłodsze dziecko, urodził się w Bethlehem, w Pensylwanji, w r. 1898. Wkrótce potem rodzina Benet przeniosła się do Buffalo, w stanie New York, potem do Troy w tym samym stanie, a zanim Stephen skończył 7 lat — do Kalifornji. Przy takim trybie życia, — mapa domu rodzinnego zmieniała się ustawicznie. Na szczęście matka nasza posiadała zadziwiający dar zakładania domu, gdziekolwiek los nas rzucił. Syn zaś jej zawsze twierdził, że byłaby doskonałym pionierem.

Stephen by już uważnem i wrażliwem dzieckiem, kiedy pierwszy raz przejechał wszerz kontynent Ameryki i ujrzał Benicję, dawniejszą stolicę starej Kalifornji. Tam, w Benicji, w cieniu Arsenału spędził sześć najbardziej kształtujących lat swego życia. Wznosiły się tam brunatne pagórki, rosły płaczące drzewa eukaliptusu i pieprzu; błękitne wody cieśniny Carquinez pluskały tuż przed progiem domu Stephena. Latem robiliśmy wycieczki, obozowaliśmy w dolinie Yosemite, gdzie jeszcze dziś znaleźć można ślady po dawnych Indjanach, oraz nad Leśnem Jeziorem w wysokich górach Sierry Nevady. Tam oglądaliśmy skalistą rozpadlinę, podobną do doliny suchych kości z Biblji. Miejsce to nazywało się Doliną Rozpaczy, i dreszcz nas tam przenikał na myśl o niegdysiejszych poszukiwaczach ukrytych skarbów.

Stephen był stałym towarzyszem swoich niezwykłych rodziców. Starszy brat i siostra uczyli się w szkołach poza domem. Ojciec, człowiek wszechstronnie oczytany, posiadał umysł błyskotliwy i krytyczny. Studjował historję, był humorystą i pasjami interesował się wszystkiem, co miało związek z jego rodziną. Matka była pochodzenia anglo-irlandzkiego. Kochała życie i posiadała dramatyczny talent prawdziwego bajarza. Opowiadała mu historję swej rodziny, przodków, szkocko-irlandzkich kupców, którzy przeszli pasma Alleghanskie, aby osiedlić się w Pittsburgu. Przytaczała anegdoty o wielu wojowniczych osobistościach, które zabarwiły jej dzieciństwo. Wielki, biały budynek w Benicji był prawdopodobnie dla Stephena pierwszem wspomnieniem domu. Jak na kwaterę wojskową był wyjątkowo przytulny, obszerny, chłodny, rozbrzmiewający śmiechem i interesującemi rozmowami. Przygarniał ten dom rozmaitych gości: kupców, oficerów i biskupów. Wśród tego rozgardjaszu poruszał się mądry chłopczyk w okularach, który oznajmiał, że zamierza pisać prosto i w wielkim stylu. Jakoż od chwili, gdy nauczył się trzymać pióro w ręku, próbował pisania wierszy i wsłuchiwał się w melodję romantycznej bohaterskiej poezji, którą mu czytali na głos ojciec, matka — lub też jego bożyszcze —starszy brat.

Kiedy doszedł do lat trzynastu scena znów się zmieniła. Miejsce Kalifornji z jej cudnym klimatem, konnemi przejażdżkami i wycieczkami w góry — zajęła ziemia Południa, o piaszczystych wzgórzach i błotnistych rzekach, gdzie mieszkali śpiewnie mówiący negrzy, oraz "biała nedza" o pergaminowej barwie skóry, żywiąca się wieprzowiną. Tutaj Stephen zapoznał się przedewszystkiem z tradycją ustną Wojny Domowej i spoufalił się z nią. Wojna Domowa przylgnęła do Nowej Augusty, tego nieodbudowanego miasta stanu Georgia. Letnie miesiące spędzał Stephen w górach południowej Karoliny, w dziewiczej wiosce o nazwie Highlands, dokąd jeszcze nie zabłądził motor. Poznał tamtejsze spory rodzinne i język tamtych stron, zwyczaje i dzikość górali, pędzących w ukryciu samogonkę, ich zawody muzyczne i tańce. Z tych przeżyć powstał "Mountain Whippowill" oraz "The Ballad of William Sycamore." Kiedy miał lat piętnaście, stopniowo, precyzyjnie i żywo narastała w jego umyśle panorama amerykańska. Historję o wojnie między Stanami Północnymi i Południowymi burzyły jego krew. Gdy zwiedzał dom babki w rodzinnem mieście Carlisle, w Pennsylwanji, zabrano go na gettysburskie pole bitwy i pokazano mu groby i pomniki. Cal po calu odbudowywał ojciec przed oczami syna sceny straszliwych zmagań.

W siedemnastym roku życia wstąpił Stephen do uniwersytetu w Yale i już w pierwszym miesiącu zadebjutował tomikiem poezji "Five Men and Pompey." Była to serja dramatycznych portretów starożytnych Rzymian, których tak namiętnie uwielbiał, — utwór naśladowczy, nie mniej jednak godny już uwagi pod względem technicznym i wiele obiecujący. Instrument Stephena nigdy nie zawodził. Styl jego, błyskotliwy i gładki, był jakgdyby bronią ściśle dopasowaną do jego ręki. W okresie, gdy był studentem, Yale University Press wydała drugi tom jego poezji. Edwin Arlington Robinson, senjor poetów, zauważył, że w tej poezji jest "siła i talent." Wkrótce po promocji opublikował następny tom wierszy: "Heavens and Earth" oraz pierwszą swą powieść: "The Beginning of Wisdom" — dzieło, jak na młodzieńca dwudziestodwu-letniego wspaniałe.

Lecz dopiero po wczesnym ożenku i po urodzeniu się dzieci i — co dziwniejsza w czasie, gdy jako stypendysta Fundacji Guggenheima przebywał we Francji — napisał Stephen swe wspaniałe epos "John Brown's Body." Dzieło to, opowieść poetycka z czasów wojny domowej, dająca się czytać jak romans, — obiegła cały kraj. Kupowali je ludzie pracy obojga płci, którzy wiersza w swem życiu nie przeczytali, wielbił je szary człowiek. Była to epoka poezji trudnej i zawiej, takiej np. jak T. S. Eliota 'The Wast Land" oraz dzieła Ezry Pounda. A oto pojawił się pierwszy amerykański poeta od czasów Walta Whitmana, którego następcą śmiało można Stephena nazwać.

Po powrocie do Stanów Zjednoczonych w twórczości Stephena Beneta jakgdyby skrystalizowała się jego ojczyzna Świeży i potężny głos zabrzmiał w poematach, którymi w dalszym ciągu sypał. Do poematów tych należą "Ballads for Americans," napisane wspólnie z żoną Rosemary Carr. Należy tu też krótkie opowiadanie o odkryciu i początkach Ameryki, o jej radościach i smutkach, o humorze i regjonalnym dowcipie. Rysy te wystąpiły najsilniej w słynnej opowieści "The Devil and Daniel Webster," w "John Pye and the Fool Killer" oraz w wielu opowieściach z czasów Rewolucji, m. inn. "A Tooth for Paul Revere."

Straszliwe warunki życia zagranicą wstrząsnęły jego sercem na długo, zanim wojna przyszła do naszych brzegów. "Litany for Dictatorships" powstała jeszcze zanim nas porwała zawierucha. Jak bardzo, jak niewymownie współczuł wygnańcom i ekspatrjowanym ofiarom regime'u nazistowskiego, jak rzewnie potrafił pisać o śmiertelności człowieka w takich poematach, jak "Old Man Hoppergrass" lub "The Sparrow." Duchem podróżował daleko, poznał niemało ludzkich serc i umysłów, zanim światu dał rezultat swych długich i bogatych doświadczeń.

Ameryka była terenem jego wspaniałego sukcesu pisarskiego. Poeci uważali, że nie warto opiewać swej ojczyzny i byli bardzo zajęci egzotycznemi zmianami własnego temperamentu. Stephen Benet zastosował swą fantazję oraz piękno i bogate zasoby umysłu do sceny krajowej. Ciągłe podróże na północ i południe, na wschód i na zachód, do miast i miasteczek, gdzie czytał i wykładał wobec coraz bardziej napływającej modzieży, sprawiały, iż każdy kąt kraju stawał żywo przed jego poszukującemi oczami. Jako interpretator cnót i słabości swych rodaków, wszędzie znajdował głębokie zrozumienie. Ludzie wiedzieli o czem mówił, słowa jego nie mijały ich. Mówił ich językiem.

"Zapamiętam, gdzie się urodziłem" — powiada w "American Names."

"I will remember Carquinez Straits,
Little French Lick and Lundy's Lane,
The Yankee ships and the Yankee dates
And the bullet towns of Calamity Jane.
I will remember Skunktown Plain.

"I will fall in love with a Salem tree
And a rawhide quirt from Santa Cruz,
I will get me a bottle of Boston sea,
And a blue-gum nigger to sing me blues,
I am tired of loving a foreign muse.

Rue des Martyrs and Bleeding-Heart-Yard,
Senlis, Pisa and Blindman's Oast,
It is a magic ghost you guard
But I am sick for a newer ghost,
Harrisburg, Spartanburg, Painted Post.

Stephen Vincent Benet pozostanie głęboko w naszej pamięci, jako poeta ludu, jako rzecznik ludu, jako szermierz demokracji, który na bok odłożył własną robotę i oddał swą siłę sprawie, którą kochał i krajowi, w który wierzył

GUSTAW KOTKOWSKI

DYSONANS ARGENTYŃSKI w kongresie pan-amerykańskim

Pamiętam gdy w marcu czy kwietniu 1938 roku odwiedziłem ambasadora Stanów Zjednoczonych w Warszawie A. Drexel Biddel'a w jego gabinecie mieszczącym się podówczas przy Alejach Ujazdowskich 29. Najuprzejmiejszy z dyplomatów powitał mnie słowami: — "Dziś mam interesującą okazję dla pańskiego dziennika — mogę Pana poinformować szczegółowo o rezultatach konferencji panamerykańskiej w Limie..."

W parę godzin później w redakcji Domu Prasy S. A. powiedziano mi, iż sprawa ta nie może zainteresować czytelników — gdyż jest... za odległa... Artykuł o konferencji w Limie znalazł się w koszu...

Jestem przekonany, iż dzisiaj żaden z redaktorów dzienników europejskich nie zająłby podobnego stanowiska. Ameryka zbliżyła się do Europy i nie ulega wątpliwości, że wszystko to co dzieje się na półkuli zachodniej będzie miało nader istotne znaczenie dla układu stosunków europejskich.

Chile zerwało stosunki dyplomatyczne z Rzeszą — i na szachownicy amerykańskiej jedynie Argentyna kontynuuje swą politykę "ścisłej neutralności"... Wywiad udzielony ostatnio przedstawicielowi United Press przez jednego z czołowych kandydatów na przyszłorocznego prezydenta Argentyny — a obecnego gubernatora prow. Buenos Aires dra. Rodolfo Moreno mówi nam jednak, iż w miarę sukcesów Aljantów na wszystkich frontach — i pod modrem niebem argentyńskiem realja polityczne dojrzewają do ew. volte face'u i istotnie zrozumiałego pan-amerykanizmu—w sensie możliwości współpracy ze Stanami Zjednoczonymi.

Nie uprzedzając wypadków (jeszcze zupełnie odległych) wydaje mi się, iż będzie aktualnem przypomnienie czytelnikom krótkiej historji tegoż panamerykanizmu i polityki dobrego sąsiedztwa prez. Roosevelta.

Nowa epoka w "opłakanych" stosunkach St. Zjednoczonych z państwami Ameryki Południowej zapoczątkwała konferencja międzynrodowa z państwami Ameryki Południowej w roku 1936. Wtedy **poraz pierwszy** przedyskutowano szczegółowo sprawy obrony terytorjalnej przed ew. napastnikiem z innego kontynentu... Poprzestano jednak skromnie na status quo nazwanem "de consulta" tj. polegającem na tym "iż w razie napaści na któreś z państw amerykańskich — narody Nowego Świata zwołają natychmiast konferencję na której uzgodnione zostaną zasadnicze postulaty obrony panamerykańskiej. Nie dano jednak żadnych ram prawnych tym postanowieniom i dopiero w dwa lata później, w r. 1938 na konferencji w stolicy Peru Limie —(ongiś dumnem mieście wice-królów) — uzgodniono nie tylko "solidarność kontynentu amerykańskiego," — ale również nadano formę zobowiązań prawnych postulatom dotyczącym jego obrony. Obrona ta —według postanowień tejże konferencji— nie miała charakteru automatycznego, a mogła wejść w moc jedynie wtedy gdy kraj zainteresowany zgodziłby się dobrowolnie na jej konsekwencje.

W ten sposób kraje amerykańskie zostały związane raczej w sposób moralny niż faktyczny i kwestja solidarności kontynentalnej pozostała dla baczniejszych obserwatorów w dalszym ciągu atrakcyjną iluzją.

Podobnie konferencja ministrów spraw zagranicznych wszystkich nieomal republik półkuli zachodniej zwołana w miesiąc po wybuchu wojny — w październiku 1939 w Panamie — nie przyniosła nic nowego w sensie praktycznym dla interesów wyżej wymienionej solidarności.

Dopiero na drugim z kolei zjeździe ministrów spraw zagranicznych w Hawanie w r. 1940 zdecydowano: "iż każda napaść na całość terytorjum którekolwiek z państw amerykańskich" będzie uważana jako agresja przeciwko wszystkim państwom, które podpisują niniejszą deklarację. Temniemniej jednak ta deklaracja, tak wydawałoby się kategoryczna, która powinnaby wejść w życie natychmiast po napadzie japońskim na Hawaje, została osłabiona przez deklaracje dodatkowe, które mówiły między innemi o konieczności nowych narad itp.

Dopiero w styczniu ubiegłego roku na konferencji w Rio de Janeiro po raz pierwszy zerwano z tego rodzaju frazeologją i uchwalono: **zerwanie stosunków dyplomatycznych z państwami "Osi," zerwanie stosunków handlowych i finansowych oraz sprecyzowano status quo "non beligerencji."**

Konsekwencje konferencji w Rio są wiadome. Dwanaście państw z Meksykiem i Brazylją na czele wypowiedziało wojnę "Osi," a z dniem dzisiejszym 21 republik amerykańskich współpracuje z Waszygtonem coraz bardziej, istotniej i efektywniej.

Argentyna najbogatsza, najbardziej europejska" z republik południowo-amerykańskich faisant le bonne face au mauvais jeu — czuje się nietylko osamotniona ale i niespokojna... Rząd argentyński podkreśla zawsze swą całkowitą i suwerenną niezależność. Na ten fakt wpływał m. in. niewątpliwie i znany kompleks niższości wobec U. S. A. toteż moment psychologiczny w stosunkach między Buenos Aires i Waszyngtonem jest może równie ważny jak i polityczny. Czy Argentyna zerwie stosunki z "Osią" w momencie gdy presja wywierana przez Waszyngton nie będzie zbyt drastyczna, i zbyt upakarzająca?

Od czasu zamachu stanu w roku 1930 dokonanego przez gen. Uriburu, i odsunięcia od władzy partji liberalnej tak zwanej "Union Civica Radical", rząd Argentyński jest w pewnym sensie rządem totalitarnym, ponieważ wybory do parlamentu były z zasady fałszywe i nie odpowiadały właściwemu wyrazowi opinji publicznej... Obecny prezydent zgrupował obok siebie ludzi o przekonaniach pro-totalitarnych — **pro-totalitarnych nietylko z przekonania, ile z przekonania że jest to jedyna forma rządzenia pozwalająca na pozostanie u władzy.** Osłabienie, dezorganizacja i zubożenie partji opozycyjnych ułatwiło to w sposób kapitalny.

Wydaje się iż bliski termin wyborów nowego prezydenta (listopad 1943) będzie momentem zwrotnym w polityce zagranicznej tej pięknej i wspaniałej republiki której społeczeństwo w znakomitej większości hołduje ideałom demokratycznym... Moment ekonomiczny obok telegramów donoszących o coraz to nowych triumfach Aliantów wpływa coraz silniej z każdym miesiącem na realja polityczne, jak również preferencje ekonomiczne jakie Stany Zjed. dają innym krajom, a przedewszystkiem "najlepszemu z dobrych sąsiadów"—Brazylji i "benjaminkowi" Białego Domu —Urugwajowi. Groźba desantu niemieckiego czy japońskiego nad brzegami Rio de la Plata — stary pretekst polityki izolacyjnej—stała się całkowicie nierealna. To też interesy ekonomiczne będą miały niewątpliwie wpływ decydujący na politykę zagraniczną. Argentyna robi co może by ożywić wymianę towarową ze swymi sąsiadami: traktat handlowy z Peru, z Boliwją (z 6 lutego 1942), obecne intensywne organizowanie wymiany handlowej z Chile — oto niektóre przykłady aktywności argentyńskiej na tem polu. To nie wystarcza jednak i jest pewne iż w miarę trwania wojny, trudności ekonomiczne będą się zwiększały. Już w tej chwili odmowy importowe ze strony Stanów Zjed. zaczynają mieć charakter drastyczny. Przestaną go mieć gdy Argentyna zdecyduje się zagrać w orkiestrze pan-amerykańskiej — drugie czy nawet pierwsze skrzypce — bez "niepokojących" dysonansów.

Sumner Welles przypomniał, iż pierwsza konferencja pan-amerykańska została zwołana w roku 1889 — **roku urodzin Hitlera.** W roku 1943 — **który łatwo może być rokiem jego śmierci** — pan-amerykanizm nabiera znaczenia **bardziej uniwersalnego** niż kiedykolwiek. W „nowym porządku" zbudowanym na gruzach zbrodniczego militaryzmu Niemiec i Japonji — opartym na wolności, sprawiedliwości, wzajemnem zrozumieniu i tolerancji — narody Nowego Świata muszą być zjednoczone i solidarne. Ci wszyscy którzy kochają "Kraj wielkiej pomyślności" jakim jest Argentyna i znają jej przeszłość historyczną — wierzą, iż te właściwe, a nie inne argumenty wpłyną na zmianę jej dotychczasowej polityki.

WŁADYSŁAW GIEYSZTOR

STASIEK i FRANEK

Jesienna szaruga wisiała nad dokami i uliczkami Hamburga, gdy Bartłomiej wsiadał samotnie na „szyf". Jego bliźniak-brat, Wojciech, miał wyruszyć tą samą drogą na wiosnę. Nie uzbierali bracia dosyć aż na dwie "szyfkarty", toteż Wojciech przez zimę miał dorobić brakujące marki, pracując u Niemca na tartaku.

Lata osiemdziesiąte były ciężkie dla ludności polskiej w Poznańskiem. Zwycięskie Prusy bismarkowskie gniotły polskość, dołami szła cicha uparta walka. Robiło się duszno po miasteczkach i wsiach polskich— i agenci kompanij okrętowych, werbujący robotników do Ameryki, łatwo tu teraz zdobywali klientów. Wtedy to właśnie Bartłomiej i Wojciech postanowili wyjechać za morze — do wolnej Ameryki.

Bez przygód dobił "szyf" Bartłomieja do portu nowojorskiego. Młody emigrant maszerował z walizką w ręku ulicami wielkiego obcego miasta. Był oszołomiony i onieśmielony. Niedługo tu popasał: oparł się aż w Ohio — i [illegible] przyjeździe wzia[illegible]

[illegible] Poszły listy do brata Bartłomieja

Mijały lata. U Wojciechów zaczęły rodzić się dzieci. Przenieśli się do miasta, gdzie Wojciech prowadził teraz odziedziczony przez żonę sklep spożywczy. O wyjeździe do Ameryki mówiono wciąż jako o rzeczy postanowionej; mówiono w ten sposób tem bardziej i tem więcej, gdy umarła matka Rózi. Ale wciąż coś stawało wyjazdowi na przeszkodzie — aż w końcu tak już zostało: nigdy nie pojechał Wojciech do Ameryki. Zagospodarował się na dobre w swojem Nakle.

I Bartłomiej puścił głęboko korzenie w swoje nowe życie. Dawno już porzucił konie dla tryumfującej maszyny. Był teraz właścicielem dobrze prosperującego warsztatu mechanicznego. Także ożenił się i także obrósł w dzieci.

Bracia-bliźniacy korespondowali ze sobą, ale już rzadko.

Gdzieś około 1890 roku urodził się Wojciechowi trzeci syn; na chrzcie świętym dano mu imię Stanisław. W tym samym roku w dalekiem Ohio Bartłomiej ochrzcił swego pierworodnego; dostał Franciszka na patrona. Obaj ojcowie dbali o wykształcenie dzieci: Stasiek zczasem został inżynierem budowy okrętów, a Franek poszedł na księdza.

Mijały znowu lata — dziesiątki lat. Bartłomiej i Wojciech umarli prawie o tym samym czasie. Biały cementowy krzyż zdobi grób Bartłomieja na cmentarzu na wysokim skalistym brzegu jeziora Erie. Mocny krzyż dębowy stoi na mogile Wojciecha gdzieś na krańcu Nakła; dwie spore brzozy wyrosły już po bokach krzyża.

Stasiek i Franek doszli do pięćdziesiątki. Nie poznali się nigdy, a nawet nie bardzo wiedzieli o sobie wzajemnie. Coś tam Stasiek słyszał o jakimś księdzu amerykańskim tegoż nazwiska co on, a i Frankowi mówiono, że w Polsce wybił się jakiś inżynier, pewnie jego kuzyn.

Franek oddawna jest już proboszczem. Ma teraz wielką parafję. Parafjanie go szanują, u władz przełożonych ma uznanie, nie ustaje w pracy społecznej. W pojęciu obcych, a nawet swoich jest czemś więcej niż proboszczem na parafji.

Stasiek zakończył już swoją drogę życiową. Gdy w Polsce zaczęto mówić o dostępie do morza, o własnym porcie — inżynier morski Stasiek był pierwszy, który stanął do tej pracy. I nie odszedł od niej aż w czas obecnej wojny — zastrzelony przez Niemców właśnie za to, że ukochał morze i że stał nad niem do ostatka.

Znałem Staśka przez równe dwadzieścia lat. Zjawił się w naszem Ministerstwie — Ministerstwie Przemysłu i Handlu, już w 1919 roku i objął stanowisko referenta morskiego. Wszystkim nam zdawało się wówczas, że to praca trochę teoretyczna i mało potrzebna. Ale Stasiek chodził pomiędzy nami, uśmiechał się i powtarzał: "Własny port, własny port"... Redagowałem wówczas tygodnik "Polska Gospodarcza", organ Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Stasiek godzinami przesiadywał u mnie w redakcji, znosił mi różne artykuliki i notatki o morzu. Nie był świetnym pisarzem — a zresztą nie bardzo było o czem pisać. Zaraził mnie jednak swoim katońskim uporem i swoją wiarą w Polskę na morzu. Zaraził także innych. Już teraz była nas spora paczka szermierzy o własny port i własną marynarkę handlową. "Polska Gospodarcza" podjęła kampanję morską.

Aż wreszcie przyszedł minister jak się patrzy: Ślązak zahartowany w oporze narodowym. Zezłościł się na niesforny Gdańsk — i kazał szukać wśród wydm polskiego wybrzeża miejsca odpowiedniego na własny port. Wyjechała komisja nad morze — i Stasiek oczywiście na jej czele. Uśmiechał się jeszcze szerzej i promieniał szczęściem i energją. Zdarzyło się tak, że i ja jakoś przyplątałem się do tych pierwszych pionierów — jedyny nieinżynier wśród inżynierów. Jako ekonomista — miałem studjować zadania przyszłego portu. I już zostałem w tej fascynującej pracy przez dalsze 17 lat, aż do wybuchu tej wojny.

Zaraza morska owładnęła całą Polską w mig. Nasze uparte "sic censeo Gdyniam construendam esse" dało owoce, a przed nami otworzyło na całe życie najcudowniejsze i najbardziej wymarzone pole do pracy. Już teraz nie rozstawaliśmy się ze Staśkiem. Był on dla mnie naprzemian to kolegą w pracy, to szefem, to wreszcie — gdy poszedłem z posady rządowej na swoje — troskliwą władzą opiekuńczą. Gospodarzyłem w swojej "Warcie", a Stasiek stał na czele wszystkich naszych urzędów morskich. Codziennie spotykaliśmy się na nadbrzeżach portowych przy pracy, która jednokowo i bez reszty wypełniła życie obu nas.

Stasiek był świetnym gospodarzem. Port gdyński rozrastał się i kwitł, a przytem — wbrew polskim tradycjom — zasłynął z porządku i czystości. Widzę i dziś wysoką barczystą sylwetkę Staśka, jak uśmiechnięty krąży po swojem wielkiem gospodarstwie, doglądając osobiście każdego drobiazgu, każdego drzewka przy asfaltowanych ulicach portu — dumny z przepełnionych magazynów, z najsprawniejszych w Europie dźwigów portowych.

Stasiek nie był błyskotliwy, a wielu mówiło o nim, że jest nudny. Gdy go ktoś jednak lepiej poznał, to musiał podziwiać jego liczne — niepolskie — zalety: skromność, stateczność, przysłowiową punktualność, bezpretensjonalność, drobiazgową konsekwencję w pracy, swoisty rodzaj zdolności, który u nas w Polsce nazywano "chłopskim rozumem".

We wrześniu 1939 roku Gdynia, odcięta od świata, przez 18 dni stawiła czoło Niemcom. Stasiek został na posterunku i tak samo jak zawsze — spokojnie, systematycznie i energicznie współdziałał z obroną:— kwaterował i zbroił wojsko, budował fortyfikacje. A gdy Niemcy wkroczyli do miasta i portu — czekał na nich w swoim gabinecie i przywitał tym samym uśmiechem, który wszyscy w Gdyni znali tak dobrze.

Niemcy z miejsca wzięli zakładników — cały kwiat Gdyni: księży, sędziów, administrację portu i miasta, wybitniejszych kupców. Stasiek oczywiście poszedł na pierwszy ogień. Trzy dni trzymano ich zamkniętych w kościele, nie dając pożywienia. A potem przewieziono do Gdańska — i odtąd wszelki słuch o nich zaginął. Dopiero w dwa lata potem w Warszawie jakiś dygnitarz Gestapo, gdy podpił — przechwalał się, jak to w Gdańsku zrobiono koniec z przywódcami znienawidzonej Gdyni: zastrzelono jednego po drugim.

O Staśku ostatnie wieści są z dni więzienia w naszym małym kościołku gdyńskim. I tu objął rolę gospodarza: chodził pomiędzy ludźmi, porządkował co można było uporządkować, słabszym dodawał otuchy — uśmiechał się jak zawsze.

W swojej turze po Ohio przyjechałem dziś do księdza o tem samem nazwisku, co Stasiek. Pytałem, czy nie krewny tamtego; odrzekł, że dobrze nie wie. Potem mi powtórzył historję o swoim ojcu Bartomieju i jego bracie-bliźniaku Wojciechu, co to nigdy nie dojechał do Ameryki. A wreszcie opowiadał swoje własne dzieje w Ameryce. Oto już trzydzieści lat jest księdzem, zawsze w Ohio, gdzie przed laty osiadł jego ojciec. Nigdy jakoś nie dojechał do Polski, chociaż zawsze marzył o tej podróży, bo rodzice nauczyli go kochać daleki "Stary Kraj". I on tę miłość do Polski stara się obecnie przekazać młodemu pokoleniu — swoim parafjanom. Jest jednak zdania, że dla utrzymania polskości w Ameryce nie wystarczy budzić sentymenty narodowe. Trzeba w to nowe życie na nowym terenie wlać także istotną treść, a to da się osiągnąć jedynie przez czynny udział Polaków w życiu społecznem i politycznem Ameryki. Toteż Ksiądz Franciszek jest sam czynny wśród Amerykanów. Robi pozytywną robotę — i już przypadkiem dziś rano słyszałem od właściciela mego tourist-home'u, że "Father Frank" jest jednym z najbardziej pożytecznych i poważanych leaderów miejscowego społeczeństwa. A Polacy bynajmniej nie stanowią większości w tem mieście.

Pod koniec rozmowy ustaliliśmy niezbicie, że "Father Frank" — to Franek, stryjeczny brat mego Staśka. Upewniło mnie o tem i Nakło w przeszłości obu i zestawienie różnych drobnych wzmianek Staśka o kuzynie-księdzu w Ameryce z tem, co mi teraz mówi Ksiądz Franciszek Zresztą i tak nie miałem żadnych wątpliwości: wystarczyło przyjrzeć się Księdzu Franciszkowi, żeby dostrzec w nim Staśka: ten sam słuszny wzrost, prosta postawa, barczyste ramiona, ten sam mocny uścisk dłoni, ten sam tak dobrze mi znany pogodny uśmiech.

I to samo życie, pomimo, że jeden żył i umarł w Polsce, a drugi pracuje w Ameryce, pomimo, że jeden był świeckim, a drugi jeste księdzem: pozytywna, realna, pożyteczna robota, bez pogoni za sławą i rozgłosem, bez blagi i zbędnego gadulstwa.

Stasiek i Franek — dwa mocne polskie dębczaki, których żadna burza nic złamie.



Żołnierz polski w Persji.

MICHAŁ KONDRACKI

PANORAMA MUZYCZNA BRAZYLJI

Życie muzyczne w Brazylji jest w stanie ciągłego rozwoju. Koncentruje się ono w dwóch ważniejszych ośrodkach kulturalnych: Rio de Janeiro i Sao Paulo. Stolica ma oczywiście, ambicje pierwszeństwa i przodowania w ruchu artystycznym. Porywa lepszych muzyków z prowincji, przyciągając ich magnesem snobizmu. Sao Paulo ma jednak większe tradycje teatralno muzyczne oraz znającą się na sztuce publiczność.

Oba miasta posiadają własne orkiestry symfoniczne, częściowo utrzymywane przez Prefektury. Rio ma ich nawet nominalnie trzy: Orkiestrę Symfoniczną Brazylijską, Teatru Miejskiego, oraz pół-prywatną, pół amatorską Towarzystwa Pro-Musica (Propaganda da Musica de Camera). Twórcą i głównym organizatorem pierwszej był E. Szenkar, znany kapelmistrz węgierski, emigrant, przybyły tutaj przed paru laty. Postawił on młodą, dojrzewającą orkiestrę na poziomie poważnym, wkładając dużo energji i pracy osiągnął jak najlepsze rezultaty.

Wśród kompozytorów, których Brazylja posiada ilość pokaźną, najbardziej znanym jest Villa-Lobos. Jego płodność i aktywność jest zadziwiająca, dlatego warto mu poświęcić szczególną uwagę. Autor nawskroś symfoniczny kilkunastu monumentalnych dzieł orkiestrowych: licznych 'Choru'ów" narodowych baletów ("Amazonas", "Uirapuru", "Yara") poematów symfonicznych ("Rude Poema?" "Momo Precoce" "Bachianas Brazileiras") koncertów instrumentalnych, kameralnych, pieśni i imponującej ilości miniatur fortepianowych, poświęcił się ostatnio pracy pedagogicznej metodycznego wyszkolenia muzycznego młodzieży. Stworzył olbrzymią wielotysięczną organizację chórów międzyszkolnych, którymi dyryguje sam, nagrywając płyty, opracowując jednocześnie bogaty repertuar wokalny oparty o stylizację folkloru brazylijskiego. Przygotowuje on tą drogą kadry przyszłej muzykalnej publiczności i niezbędnych dla prawdziwego rozwoju kulturalnego rzetelnych słuchaczów sal koncertowych, dla których muzyka będzie stanowiła potrzebę życia codziennego, a nie pretekst do pokazu mód i zebrań towarzyskich.

Villa-Lobos, który wiele lat spędził w Paryżu i posiada łatwość pisania zupełnie niewiarogodną jest doskonałym instrumentatorem i gruntownym znawcą folkloru brazylijskiego. Jest on też przeciwnikiem kina, karnawału i radja, uważając je za główne przeszkody do postępu muzyki artystycznej w Brazylji.

Z pośród innych wybitniejszych twórców tego kraju wymienić należy Lorenzo Fernandez'a, Camargo Guarnieri'ego i F. Mignone. Pierwszy z nich zasłynął głównie swoją operą "Malazarte", będącą próbą stworzenia esencjonalnego dzieła scenicznego o charakterze typowo narodowym do głośnego tekstu Graca Aranha. Wystawiona pod dyrekcją autora przy udziale gościnnie przebywających w Rio sił śpiewaczych zagranicznych (Giuseppe Manacchini, Frederyk Jagel) na zamknięcie sezonu roku ubiegłego, opera Fernandez'a zainteresowała swym kolorytem lokalnym, jak naprz. tańcami ludowymi "Batuque". wielogłosowymi śpiewami chóralnymi, oraz specyficzną atmosferą romantyczną, owianą urokiem starych legend.

Camargo Guarnieri jest jednym z nielicznych wybitniejszych kompozytorów brazylijskich, mieszkający w Sao Paolo, — i może dlatego trochę niesłusznie zapoznanym, — który nie korzysta z łatwej skarbnicy folkloru, lecz pisze muzykę o obliczu bardzo indywidualnym, rzetelnie opracowaną (studjował w Paryżu), lubuje się — w przeciwieństwie do Villa-Lobosa—w niedużych formach, o przejrzystej fakturze i wycyzelowanej formie. Bardzo interesującą Suite, orkiestrowo świetnie skomponowaną reprezentował on Rio pod własną dyrekcją na początku bieżącego sezonu, w sali konserwatorjum.

Bardzo ruchliwym i zręcznym muzykiem — stylizatorem folkloru brazylijskiego jest Fr. Mignone, znany obok Villa-Lobosa publiczności amerykańskiej, podobnie jak i Hekel Tavares, który nagrał na płyty cały szereg własnych utworów — opracowań mających duże wzięcie u publiczności. Warto przypomnieć, że Fr. Mignone napisał muzykę do baletu brazylijskiego dla amerykańskiego zespołu baletowego L. Kirsteina.

Na wymienienie zasługują także następujące nazwiska młodych kompozytorów; Luis'a Cosme (pieśni "Mae d'Agua") i Radames'a Gnatali.

Tegoroczny sezon koncertowy i teatralny pomimo znacznych trudności komunikacyjnych, wywołanych wojną, prezentuje się interesująco. Rozpoczął się od Baletu Rosyjskiego Basil'a w swym najbardziej typowym repertuarze: "Paganini" (II Koncert Rachmaninowa), IV Symfonja Brahmsa, "Szecherezada", "Złoty Kogucik" Rymskij-Korsakowa, "Syn Marnotrawny" Prokofiewa itd., zdobywając rekord sukcesu jakiego Rio wogóle nie pamięta. Zeszłoroczne występy Baletu Amerykańskiego (L. Kirstein'a pod świetnym kierownictwem Balanszin'a) nie miały tego powodzenia aczkolwiek zespół amerykański nie ustępował rosyjskiemu pod względem technicznym, a przewyższał go tendencjami współczesnemi i nowością repertuaru. Przy okazji warto wspomnieć, że polscy tancerze tej miary co Jasiński i Szabelewski stanowią chlubę Baletu Rosyjskiego Basil'a

Jednym z kulminacyjnych punktów sezonu muzycznego były recitale Braiłowskiego — który w Południowej Ameryce posiada bezkonkurencyjne nazwisko. Największem uznaniem cieszy się on tu jako Chopinista, publiczność Brazylijska uwielbia bowiem muzykę Chopina w sposób zupełnie wyjątkowy, jak może żadna inna na świecie. Interpretacja Braiłowskiego trafiła jej najbardziej do gustu, dlatego stał się ten pianista wyrocznią w każdym repertuarze.

Bardzo poważnym autorytetem jest również Magdalena Tagliaferro, głośna pianistka brazylijska, która spędziła znaczną część życia w Paryżu i jest głęboko przesiąkniętą francuską kulturą. Pokusiła się ona wzbudzić wśród brazylijskiej publiczności zamiłowanie do muzyki Debussy'ego, którego jest niezrównaną interpretatorką, organizując oryginalny recital fortepianowy, poświęcony twórczości Debussy'ego połączony z prelekcją i analizą dzieł wielkiego francuskiego mistrza. Naogół bowiem współczesna muzyka nie dotarła jeszcze do Brazylji i jest tutaj dosyć mało znana. Ulubionymi kompozytorami — oprócz Chopina — są tu: Szubert (Ave Maria), oczywiście, Beethoven, Ravel (ze względu na jedynie znane-popularne tu bardzo "Bolero") i włoscy mistrzowie bel-canta. Dlatego opery mają powodzenie, a Temporada Liryczna (sezon operowy) cieszy się znaczną frekwencją zwłaszcza wobec udziału gościnnie występujących artystów zagranicznych: Florence Kirk, Marion Matthaus, Fr. Jagel, L. Warren, Kulman i inn. Z gościnnie dyrygujących Orkiestrą Municypalną kapelmistrzów na pierwszy plan wybija się Albert Wolff, znakomity paryżanin, emigrant, obecnie jeden z dyrygentów teatru Colon w Buenos Aires, oraz, z lokalnych, Eugenjusz Szenkar, o którym już była mowa. Repertuar operowy obejmuje zarówno dzieła włoskie ("Traviata", "Bal Maskowy") francuskie (Manon) jak i brazylijskie ("Maria Tudor" Carlos'a Gomes'a, "Tiradentes" E. de Carvalho) oraz klasyczne ("Don Juan" Mozarta).

Teatry Municypalne w Rio i Sao Paulo posiadają własne zespoły baletowe. Balet w Sao Paulo, którego kierownikiem jest Welczek, pokusił się nawet na wystawienie jednego z dzieł choreograficznych Villa-Lobos'a ("Amazonas").

Skoro o balecie mowa, to nie można pominąć milczeniem fenomenalnej interpretatorki tańców brazylijskich Eros Volusia, tancerki obdarzonej niezwykłym temperamentem i smakiem, która startowała już w Hollywood, a której występy zarówno w kasynach jak i na scenach teatralnych wzbudzają furorę.

Duże zasługi na polu krzewienia zamiłowania do muzyki położyło doskonale zorganizowane Towarzystwo Cultura Artistica o systemie abonamentowym, posiadające stałą poważną publiczność, składającą się z miłośników muzyki i reprezentujących wysoką klasę odbiorców. W ramach tej to organizacji występował świetny młody nasz skrzypek Henryk Szering "przyszły Huberman", którego gra odznacza się pięknym tonem, zupełną czystością, powagą, skupieniem i wrodzoną muzykalnością oraz nieskazitelną biegłością techniczną: zaletami pasującymi młodego, wyjątkowo utalentowanego skrzypka na wirtuoza klasy najwyższej. Miarą jego powodzenia może być fakt sprowadzenia go samolotem z Rio do Buenos Aires przez A. Wolff'a jako solistę symfonicznego koncertu teatru Colon. Szering przybył do Brazylji z Paryża przed rokiem już ze sławą.

Grono polskich muzyków, przebywających w Rio powiększył ceniony pianista i pedagog Aleksander Sienkiewicz, który już dał się poznać w Rio elicie towarzyskiej i artystycznej. Cykl recitalów fortepianowych ogłosiła w sali Konserwatorjum w Rio znana pianistka polska Felicja Blumenthal, zamieszczając m. in. w programie utwory Szostakowicza oraz, z polskich kompozytorów, współczesnych Felixa Łabuńskiego (Mazurki, Toccata).

Popularna pieśniarka i diseusa Dora Kalina występowała parokrotnie w swym charakterystycznym repertuarze, interpretując zarówno teksty polskie jak brazylijskie, francuskie, angielskie.

Na tem kończy się przegląd sezonu teatralnego i koncertowego. Jako szczegół dodać można, że ogłoszono ostatnio konkurs dla pianistów brazylijskich; zdobywcą pierwszej nagrody był Arnaldo Estrella, doskonały wirtuoz o nieprzeciętnych walorach, który dał szereg koncertów w Brazylji, poza Rio i Sao Paulo istnieją bowiem pierwszorzędne sale koncertowe zarówno w Santos, Pelo, jak również i w Belem i Manaos (Północ, słynna Amazonja) gdzie jeszcze się zachowały sale teatralne z przed pół wieku, pamiętając czasy "prosperity kauczukowej". Niewielu jest jednak amatorów pośród muzyków na długodystansowe objazdy koncertowe po Brazylji.

1) Chorus XIty ma zwiększoną orkiestrę z fortepianem, jako instrumentem solowym, wykonany na jednym z kompozytorskich koncertów pod dyrekcją autora trwa bez przerwy godzinę i dwadzieścia minut. Zadedykowany jest A. Rubinsteinowi.

2) Próba "muzycznego portretu" wielkiego pianisty naszego Artura Rubinsteina przyjaciele i "odkrywcy" Ville-Lobosa.

OFIARY

Zamiast kwiatów na grób śp. Jana Wasilewskiego aktorzy "Polskiego Teatru Artystów" ofiarowali na pomoc dzieciom polskim, uratowanym z Rosji — dolarów 10.

DO CZYTELNIKÓW:

Załączając okazowy numer "Tygodnika Polskiego", prosimy Sz. P., jeżeli pragnie zaabonować nasze pismo, o łaskawe wypełnienie poniższej deklaracji i przesłanie jej pod adresem: "Polish Weekly", 806 Lexington Ave., New York, N. Y.

Niżej podpisany zgłasza kwartalną ($1.20) ☐, półroczną ($2.40) ☐, roczną ($4.50) ☐ prenumeratę "Tygodnika Polskiego".

Należność załączam czekiem ☐, przekazem pocztowym ☐.

Dnia ....

....
Imię i nazwisko (wyraźnie)

....
Ulica

....
Miasto i Stan

OPINJE I ZDARZENIA

LAURA BENET

Laura Benet, autorka, specjalnie dla "Tygodnika polskiego" napisanego artykułu o Stefanie Vincent Benet'cie jest siostrą przedwcześnie zmarłego poety oraz starszego odeń brata Williama Rose Benet, również znakomitego poety.

Panna Laura Benet ogłosiła drukiem trzy tomy wierszy p. t.: "Fairy Bread", "Noah's Dove" oraz 'Basket for a Fair". Szczególnie cenione są jej książki biograficzne jak: "The Boy Shelley", "Enchanting Jenny Lind", 'Young Edgar Allan Poe". Napisała również książkę dla dziewcząt pt. "Roxana Rampant" oraz powieść biograficzną o poetce amerykańskiej Emily Dickinson pt. "Come Slowly Eden".

Panna Benet mieszka w Nowym Jorku i pracuje obecnie nad dwiema nowemi biografjami. W swoim czasie współpracowała kolejno w dziale książek następujących pism: "New York Evening Post", "New York Evening Sun" i "New York Times".

Redakcja "Tygodnika polskiego" dziękuje pannie Laurze Benet za skreślenie dla naszego pisma szkicu o ukochanym bracie

ODCZYT O KULTURZE UKRAINSKIEJ W POLSKIM INSTYTUCIE NAUKOWYM

W dniu 5 maja rb. odbył się w Polskim Instytutcie Naukowym w Nowym Jorku niezwykle interesujący odczyt znanego kompozytora i muzykologa ukraińskiego, prof. Antoniego Rudnickiego, p. t. "Rola muzyki w kulturze ukraińskiej". Odczyt zgromadził kilkadziesiąt osób z pośród polskich i ukraińskich sfer naukowych i publicystycznych. Ze strony ukraińskiej byli obecni m. in. redaktorowie ukraińskiego dziennika narodowego "Swoboda": dr. Ł. Myszuga i p. O. Rewjuk, b. profesor Grecko-Katolickiej Akademii Teologicznej we Lwowie, znany historyk, dr. M. Czubatyj, inż. Danylczenko oraz szereg innych.

Zebranie zagaił dyrektor Instytutu, prof. dr. Oskar Halecki, witając serdecznie gości ukraińskich i wyrażając radość z powodu nawiązania kontaktu pomiędzy przedstawicielami nauki polskiej i ukraińskiej w Stanach Zjednoczonych. Tak, jak dzieje narodów polskiego i ukraińskiego — powiedział prof. Halecki — są ze sobą ściśle związane, tak też i związki ich w dziedzinie nauki i kultury wogóle są bardzo żywe i rozległe. Dla zilustrowania tych związków w dziedzinie nauki wymienił prof Halecki szereg profesorów — Ukraińców, wykładających na Uniwersytecie Warszawskim, jak znakomitego psychologa St. Baleya, wybitnego historyka M. Kordubę. filologa R. Smal-Stockiego i parę innych. Wspomniał również o owocnej działalności Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie, założonego i utrzymywanego przez Rząd R. P. Instytut ten zasłużył się kulturze ukraińskiej całym szeregiem cennych wydawnictw historycznych i literackich, w szczególności pomnikowem wydaniem całej spuścizny pisarskiej i malarskiej ukraińskiego wieszcza narodowego Tarasa Szewczenki.

Mówiąc o nauce ukraińskiej podniósł prof. Halecki jej znakomity rozwój w ostatniem pięćdziesięcioleciu, podkreślając szczególnie zasługi Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki we Lwowie oraz bogaty dorobek badań historycznych Michała Hruszewskiego i jego szkoły, jednym z przedstawicieli której jest prof. M. Czubatyj. Na zakończenie prof. Halecki poinformował zebranych, iż Zarząd Instytutu na swojem ostatniem zebraniu wybrał prof Rudnickiego członkiem Polskiego Instytutu Naukowego.

Z kolei zabrał głos prelegent, wygłaszając nader zajmujący i pełen wnikliwych spostrzeżeń wykład o ukraińskiej kulturze muzycznej, jako o jednej z dziedzin żywej i oryginalnej twórczości narodu ukraińskiego na polu kultury. Podkreślając par excellence ludowy charakter muzyki ukraińskiej i płynącą stąd jej niezwykłą świeżość. prelegent wskazał równocześnie pewne ujemne strony przerostu pierwiastków ludowych, z którymi walczyć muszą ukraińscy kompozytorzy modernistyczni. Mimo tych zastrzeżeń, prelegent stwierdził, iż w charakterze ludowym muzyki ukraińskiej, w jej "młodości" i żywotności kryją się wielkie możliwości rozwojowe, które mogą jeszcze pewnego pięknego dnia zadziwić europejski świat muzyczny.

Omawiając dzieje muzyki ukraińskiej i wykazując jej nierozerwalny związek z całością życia i kultury narodu we wszystkich okresach historycznych, wykazał prelegent nietylko gruntowną znajomość swego przedmiotu, lecz również rozległą wiedzę w zakresie historji politycznej, co nie omieszkał podnieść z uznaniem prof. Halecki, gdy w swojem przemówieniu końcowem dziękował prof. Rudnickiemu za jego piękny i ciekawy wykład. (K. S.)

Z AMERYKAŃSKIEJ PRASY

Sprawa stosunków polsko-sowieckich, chociaż zeszła z pierwszych stron dzienników amerykańskich, znajduje jeszcze dość często ciekawe echa w różnych pismach. Jak pamiętamy — prosto z mostu i bez dyplomacji potraktował całe zagadnienie w swoim artykule w dzienniku "Sun" George Sokolsky, który powinien dostać już nie dziesiątki, ale setki listów dziękczynnych od Polaków, przebywających na uchodźtwie w Stanach Zjednoczonych i od Polonji amerykańskiej. W ostatnim numerze tygodnika katolickiego "The Register" znajdujemy artykuł wstępny, poświęcony właściwym przyczynom zerwania stosunków rosyjsko-polskich. Autor artykułu wychodzi z założenia, że powód zerwania tych stosunków, to jest apel Polaków do Czerwonego Krzyża w sprawie tajemnicy, którą skrywa piaszczyste wzgórze lasku katyńskiego pod Smoleńskiem, jest tylko pretekstem, a prawdziwą przyczyną zerwania była chęć zagarnięcia ziem wschodnich Polski przez Rosję. Sowiecka propaganda w Stanach Zjednoczonych podniosła alarm. jakoby Polacy szli na rękę nazistom i podważali zasadę solidarności aljanckiej. Nawet oświadczenie ks. biskupa Gawliny o dzieciach polskich deportowanych do Rosji, narażonych na nieopisaną nędzę, stało się w pewnych ośrodkach przedmiotem drwin. "Walczymy w obronie wolności — pisze The Register — ale nie walczymy po to by zyskać nowych poddanych dla Stalina. Jako chrześcijanie kategorycznie protestujemy przeciwko zagarnięciu ziem, zamieszkałych przez ludność chrześcijańską, i wcieleniu ich do ateistycznej Rosji, gdzie zgodnie z informacjami urzędowemi religja katolicka jest prześladowana.

W dalszym ciągu artykuł stwierdza, że katolicy amerykańscy zwarcie popierają rząd swego kraju, ale właśnie dlatego, że bronią czterech wolności i że walczą przeciwko pogańskim najeźdźcom, nikt ich nie skusi, by pochwalali grabież, jakiej dopuściła się Rosja sowiecka. "The Register" stwierdza kategorycznie, że katolicki świat amerykański nie będzie patrzeć obojętnie na zagrabienie katolickiego narodu i że Katolicy amerykańscy domagać się będą dobrodziejstw czterech wolności zgodnie z daną obietnicą — dla wszystkich narodów, pozbawionych przez najeźdźcę praw i ziemi, a więc zarówno dla Polaków, jak Litwinów i Łotyszów.

W końcu tygodnik stwierdza, że nikt niema prawa dyktować katolickim narodom tworzenia takich rządów, jakie im nie odpowiadają zaś wszystkie dzienniki i radjostacje, które rozwijają sowiecką propagandę w tej dziedzinie, podważając zaufanie do rządu polskiego na emigracji "nie będącego rzekomo reprezentantem narodu polskiego" i domagając się wraz ze Stalinem ustanowienia polskiego "czerwonego" rządu w Sowietach, któryby oficjalnie "uznał" zagarnięte w roku 1939 ziemie polskie za część składową Sowietów — zdradzają sprawę aljanckiego programu czterech wolności.

Tyle amerykański tygodnik katolicki "The Register" na temat przyczyn zerwania stosunków polsko-sowieckich.

JEDEN TRYLJON STO MILJARDÓW ZŁOTYCH

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej przeznaczyły (jak dotychczas) na wydatki wojenne dwieście dwadzieścia miljardów dolarów. Licząc po uczciwym przedwojennym kursie wyniosłoby to na złote polskie jeden tryljon sto miljardów złotych polskich. Roczny budżet Polski nie przekraczał zwykle dwóch i pół miljarda złotych, a z wydatkami nadzwyczajnymi rzadko sięgał 3 miljardów złotych. Rachunek prosty wykazuje, że ta astronomiczna góra pieniędzy, którą Stany Zjednoczone przeznaczyły na prowadzenie wojny, starczyłaby na budżet dla państwa polskiego na okres przeszło 350 lat!

Tylko kraj tak bogaty jak Stany Zjednoczone Ameryki Półnuocnej może sobie pozwolić na wydanie tej sumy, która nie zmieściłaby się w budżecie żadnego innego państwa na świecie. Ale też Ameryka ma z czego czerpać i posiada tysiące podatników, znoszących całe góry złota do Urzędów Podatkowych. Niedawno do Urzędów Podatkowych Nowego Jorku, gdy płacona była kwartalna rata podatków za rok ubiegły, wpływały nierzadko czeki, opiewające na sumy takie, jak 20, 30 a nawet 40 miljonów dolarów. Wielkie towarzystwa amerykańskie przemysłowe i handlowe płacą roczne podatki idące często w setki miljonów dolarów. Pozatem również grube miljardy dolarów wpływają do skarbu Stanów Zjednoczonych z pożyczek wojennych.

Kilka tygodni temu w Nowym Jorku w jednym z wielkich magazynów miała miejsce scena, która przedostała się na łamy prasy. Oto w sali tego wielkiego sklepu zebrało się kilkuset nowojorczan, by uczestniczyć w kampanji zakupu pożyczek wojennych. Wśród przedmiotów, którymi mieli być nagrodzeni "rekordziści", to znaczy te osoby, które zakupią obligacyj pożyczki wojennej za największą sumę, znajdowała się biblja Tomasza Jeffersona, list pisany do Waszyngtona i skrzypce imitujące prawdziwe Amati, a warte $75. — Mistrz ceremonji, rozpoczynając licytację otrzymał karteczkę od kogoś, znajdującego się na sali. Czytając tę karteczkę zbladł, potem poczerwieniał, potem znów zbladł i wreszcie, uderzając młoteczkiem o stół wykrzyknął zemocjonowany: "Dalszej licytacji skrzypiec nie będzie, gdyż otrzymałem zobowiązanie przed chwilą na zakup obligacyj pożyczki wojennej na sumę miljona dolarów."

Wiadomość ta poruszyła reporterów prasowych, którzy zainteresowali się autorem karteczki. Okazało się, że jest to niejaki Mr. Klorfine. Kto jest p. Klorfine? Nikt nie wie. Kroniki towarzyskie milczały o nim dotychczas. Żadne "Kto jest kto?" również nie wspominało tego nazwiska. Po dłuższych staraniach Mr Klorfine przyjął dziennikarzy w swojej willi na szczycie jednego z nowojorskich drapaczy. Okazało si, że niedawno, będąc na Florydzie, "mimochodem" zakupił obligacyj pożyczki wojennej za pół miljona dolarów, a jego żona kupuje często za jakieś drobne sumy, bo ostatnio za $175,000. W innym wypadku znów jakiś makler giełdowy kupił raz obligacyj pożyczki wojennej za 11 miljonów dolarów, a drugi raz za 23 miljony dolarów.

Miljon do miljona i dolar do dolara, a zbierze się 220 miljardów dolarów. (T. S.)

DROLE DE GUERRE

Komplikacje obecnej wojny doskonale ilustruje anegdota na temat niezwykłej sytuacji, w jakiej znalazły się dziś państwa bałkańskie. Autentyczny (podobno) djalog, prowadzony niedawno przez dwóch polityków kawiarnianych w Waszyngtonie, nadawałby się do komedji obyczajowej, naświetlającej kulisy powikłań dyplomatycznych:

A: Czy Pan wie, że jesteśmy w stanie wojny z Węgrami?

B: Podobno. Ale to nic pewnego. Węgry. Węgry... zaraz... Oczywiście! Węgry! Republika bałkańska.

A: Nie. To królestwo.

B: Królestwo. Aha! Kto jest królem Węgier?

A: Niema króla. Krajem rządzi admirał.

B: Admirał? A dużą mają flotę?

A: Nie mają wcale floty.

B: Jakto? Przecież Węgry muszą leżeć nad morzem...?

A: Nie. Są państwem kontynentalnem.

B: Więc jesteśmy z niemi w wojnie. Ciekawe. Z kim jeszcze walczą Węgry?

A: Z Rosją.

B: Mhm.. rozumiem. Mają wspólną granicę z Rosją.

A: Nie. Nie mają wspólnej granicy.

B: Więc o cóż oni walczą?

A: O część terytorjów Rumunji. O Siedmiogród.

B: To znaczy, że są w wojnie z Rumunją?

A: Nie. Węgrzy są aljantami Rumunji.

B: A z kim walczy Rumunja?

A: Z Bułgarją. O Dobrudżę.

B: To znaczy, że Rumunja jest również w wojnie z Bułgarją?

A: Nie. Rumunja jest również aljantem Bułgarji. (t.)

UPARTY DUŃCZYK

Polskie pismo lotnicze "Skrzydła" podaje za prasą brytyjską charakterystyczny fakt, dowodzący jak wielką popularnością na obu kontynentach cieszą się nasi lotnicy:

Przed komisją rekrutacyjną w Kanadzie stoi ochotnik Duńczyk, który w żaden sposób nie może uzgodnić z władzami wojskowemi swego przydziału w Armjach Sprzymierzonych. Na wszelkie propozycje komisji, aby ochotnik wstąpił w szeregi R. A. F. lub broni pancernej, Duńczyk odpowiada:

— Ja chcę służyć w szeregach Polskich Sił Powietrznych.

—No dobrze — mówi Brytyjczyk — ale służba w R. A. F. nie odbiega ani na jotę od prac wykonywanych w Polish Air Force.

— Ja będę służył tylko w szeregach Polskich Sił Powietrznych.

— Więc proszę nam powiedzieć co jest powodem pańskiego tak zdecydowanego entuzjazmu dla P. A. F.?

— Polskie Siły Powietrzne składać się muszą z najlepszych lotników świata, jeżeli dzienniki amerykańskie wszystkich odcieni politycznych rozpisują się o niespotykanej brawurze i pogardzie śmierci Polaków. Po wojnie będę mógł opowiadać dzieciom, iż służyłem z najlepszymi lotnikami świata.

Już od kilku miesięcy Duńczyk z Kanady pełni służbę w Polish Air Force. (t.)

SIEDEM CENTYMETRÓW

W dzienniku "The New York Sun" z dnia 19 maja znajdujemy depeszę A. P. ze Sztokholmu, w której korespondent cytuje głosy uchodźców z państw bałtyckich o gospodarce do niedawna Rosjan a obecnie Niemców na terenie trzech bratnich republik — jednakowo niszczycielskiej i zaborczej — notuje następujące powiedzenie:

Różnica między Sowietami a Nazistami wynosi siedem centymetrów, o które Niemcy zwężyli rosyjskie tory kolejowe.

W NUMERZE POPRZEDNIM (21) "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Władysław M. Besterman: Jak jest naprawdę (List z Waszyngtonu); Bolesław Zubrzycki: Problem jedności francuskiej; Michał Gram: Wiosna w szpitalu; Porucznik Arnold: Krwawa niedziela (Z dziennika oficera brygady poznańskiej); Płk. Włodzimierz Onacewicz: Morze Śródziemne, Rosja, ostatnie dobre wieści; Konstanty Symonolewicz: Woodrow Wilson, jako historyk; Opinje i zdarzenia; Listy do redakcji.

LISTY DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Panie,

Czuję się naprawdę zawstydzony, że piszę do Pana tak późno, aby mu podziękować za łaskawe załatwienie mej prośby i to w dodatku na tak wspaniałych warunkach, mam jednak nadzieję, że wybaczy mi Pan to, wziąwszy pod uwagę straszliwe tempo z jakiem mnie tu szkolą no i ilość roboty z tem nierozłącznie związanej.

Jest nas tu na tej stacji paru Polaków i naturalnie "Tygodnik Polski" kursuje z rąk do rąk i jest czytany naprawdę "od deski do deski". Nie mamy też wszyscy dość słów uznania dla wysokiego poziomu pisma Panów a ja osobiście najpilniej wypatruję wierszy Lechonia, Wierzyńskiego no i Pańskich naturalnie. Wybierając się w połowie czerwca do New Yorku planuję naturalnie odwiedzenie Redakcji "Tygodnika" — narazie zaś raz jeszcze Panu bardzo dziękuję za łaskawe przesyłanie mi "Tygodnika".

Łączę wyrazy głębokiego poważania
J. Żywicki
1. A. O. S. Malton, Ont., Canada.

W liście do Jana Lechonia, pisze Pvt. Lucjan Jerzy Nowiński, Camp Coxcomb, Calif.:

..."Grupa nas, Polaków z armji amerykańskiej, którzy znajdują się od dwóch miesięcy w pustyni Kalifornijskiej, pragną tą skromną drogą wyrazić swoją wdzięczność za napisanie artykułu pt. "Gawęda o Starzyńskim".

Serdecznie dziękujemy za tę odrobinę radości i iskrę przyjemności, jaką Pan przyniósł do naszego życia dnia powszedniego. Każde słowo tego artykułu podniosło nas na duchu, wyrażając się w radości, że jesteśmy Polakami — synami tak wielkiego Narodu.

— — — — — — — — — — —

..."My, z piechoty pancernej, którzy wybrali Szanownego Pana jako naszego ulubionego autora, czekamy z niecierpliwością na więcej tak doskonałych artykułów jak "Gawęda o Starzyńskim".

Jan Lechoń bardzo serdecznie dziękuje autorowi tego listu i jego kolegom i odpisuje im prywatnym listem.

Panu Markowi K.... w New Yorku. Przyjaciele pana źle pana poinformowali. Stefan Osuski nietylko nie jest żadnym reakcjonistą ale jest wielkim demokratą, który przez dwadzieścia lat bronił wolności i demokracji. Gdyby komuś z najwybitniejszych polityków lewicowych francuskich powiedzieć, że Osuski jest "faszystą" potężnieby się uśmiał.

WHOM — 1480
POLSKIE PROGRAMY RADJOWE

B. Rosalak — 11.45 do 12.30
K. Jarzębowski — 12.30 do 1.30
J. Suski — 4.00 do 4.30
H. Cieciuch — 4:30 do 5.00
M. Kęcki — 5.00 do 6.00

W NIEDZIELE:

K. Jarzębowski — 2.00 do 3-ej pp.
Wiadomości — 3.00 do 3.15
N. Leśniewska — 3.45 do 4.00
M. Statuch — Badacze Pisma Świętego — 4.30 do 4.45
M. Kęcki — 3.15 do 5.00
Ojciec Justyn — 5.00 do 6.00
H. Cieciuch — 6.00 do 7ej.

STACJA WBNX — 1380

"Polskie Dzwony Ochrymowiczów", 260 E. 161st Street, Bronx, N. Y. (Room 312) Telefon: MElrose 5-6554. Program codzienny Polskich Dzwonów o godzinie 12-ej w południe, z wyjątkiem niedziel.

POSZUKUJE SIĘ LETNISKA na dwie osoby dorosłe w okresie od 15-go czerwca do 1go lipca, najchętniej na farmie, w ładnej okolicy, niezbyt daleko od Nowego Jorku. Ceny z podaniem warunków (pokój, łazienka, odżywianie oraz charakter okolicy) prosimy kierować pod adresem administracji Tygodnika Polskiego, 906 Lexington Avenue, New York, N. Y.

[illegible] o sobie, jak w tych czterech [illegible], zatytułowanych "Mrowisko":

Z wysokiej patrzę wieży na ludzkie mrowisko
Gdy się podemną w dole rozpościera nisko,
Skrzętne, [illegible], obłędne.
Ale ja, któż jestem?
Poetka? więc skrzydlata mrówka,
ot i wszystko.

Trudno przewidzieć dokąd zajdzie Pawlikowska w swej górnej i chmurnej drodze, już jednak to, co nam dała dotychczas, świadczyć będzie zawsze, że śród przełomu dziejów nie brakło śród nas człowieka walczącego z chaosem, który sam rozpętał, poety wołającego o ratunek ludzkości, gdy niedowidząc kołowała nad zgubą, i duszy kobiecej, biorącej na siebie najtrudniejsze, najbardziej męskie zadanie.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.
(Ciąg dalszy nastąpi.)